Nr. 24. Lwów, Niedziela dnia 13. Czerwca 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie **12** złr. półrocznie **6** złr. kwartalnie **3** złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie **8** tal. półrocznie **4** tal. kwartalnie **2** tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie **9** tal. **10** sgr. półrocznie **4** tal. **20** srg. kwartalnie **2** tal. **10** sg

†

W jednym dniu straciła Polska dwóch pracowników. Znakomity filozof Dr. **Karol Libelt** umarł d. 9. b. m. w Czeszowie pod Poznaniem, a tego samego dnia w południe umarła w Poznaniu **Paulina Wilkońska**, znana autorka licznych powieści i wspomnień. Pokój ich popiołom! Cześć ich pamięci!

LUŹNE UWAGI.

XXIV.

RATUJMY SZTUKĘ POLSKĄ!

II. Sztuka polska zatraci powoli swój charakter odrębny i bogatej szkoły własnej nigdy mieć nie będziemy, jeżeli nie przejmiemy się doniosłością obowiązków, jakie względem niej na nas ciężą, i równocześnie wszelkich sił nie dołożymy, aby ją utrzymać i rozwinąć. Przed ćwierć wiekiem, wielcy nasi poeci budzili naród, wskazując mu drogi przyszłości. Dziś na nią przyszła kolej. Gdy poeci zeszli z widowni, zstąpiła z nieba ta święta, niepokalana, aby świadczyć że żyjemy i żyć będziemy. Strzeżmy więc i pielęgnujmy wysłanniczkę, aby przyszłe pokolenia nie powiedziały, żeśmy zakopali talent jak ów próżniak biblijny, którego sam Chrystus zganił.

Zakupieniem jednej „Unji“ Matejki nie ocalimy jeszcze sztuki polskiej; nie ocalą jej także ci nieliczni, którzy od czasu do czasu kupują drobniejsze pejzaże, lub obrazki rodzajowe. Aby jej przyszłość zbudować, potrzeba zajęcia się ogólnego i systematycznej pracy w tym kierunku, gdyż tylko na tej drodze możemy zbawiennych spodziewać się owoców.

Przedewszystkiem święty obowiązek nakazuje nam starać się usilnie o to, *aby wszystkie celniejsze okazy sztuki polskiej zostawały w kraju i były jego własnością.*

Włosi rozporządzili nie od dziś w drodze ustawy parlamentarnej, że żadne arcydzieło, lubo mają ich tysiące, nie może opuścić ich ziemi. My natomiast powinniśmy najpierw postarać się, aby każde arcydzieło naszej sztuki znajdowało się na naszej ziemi, a dopiero potem pomyślimy, jak zabezpieczyć te skarby od szlachetnego wandalizmu zagranicznych miłośników. Zdaniem naszem kupowanie dzieł malarzy polskich dla kraju, nie należy do rzeczy niepodobnych do osiągnięcia, a nawet zbyt trudnych. Gdy przed trzema laty piszący te słowa pierwszy rzucił myśl kupienia jednego z większych dzieł Matejki, z wielu stron, lubo nie publicznie, dały słyszeć się głosy, że projekt taki jest zbyt fantastyczny, by go można urzeczywistnić na gruncie galicyjskim. Tymczasem upłynęło zaledwie lat trzy, i „Unja“ dzięki zabiegom *jednego tylko człowieka*, p. F. stanie się wkrótce naszą własnością. Z taką samą łatwością, a nawet stokroć łatwiej możemy przyjść w posiadanie *całej galerji obrazów*. I oto plan:

Zawiązuje się np. Towarzystwo, które emituje pięcio lub dziesięcio guldenowe akcje. Za uzyskane pieniądze, Towarzystwo kupuje kilka obrazów, i natychmiast, w celu powiększenia dochodów, urządza wystawę, a potem akcjonarjusze biorą udział w losowaniu, aby obrazy przeszły na ich własność. Wygrywający, jeźli chce, może zostać na wieki posiadaczem otrzymanego dzieła sztuki, wszelako pod warunkiem, że wygrany przedmiot, wraz z nazwiskiem właściciela, będzie pomieszczony jakiś czas w miejscu wybranem na ten cel przez Towarzystwo. We Florencji jest olbrzymie muzeum starożytności w pałacu *Bargello*, którego najpiękniejsze okazy są własnością pojedyńczych obywateli. Każdemu z nich pochlebia, że nie tylko Włochy, lecz cały świat wie o jego skarbach.

Przedewszystkiem ludzie bogaci lubią taką ostentację, która im sprawia przyjemność, a krajowi pożytek przynosi, będąc jego chlubą. Jeżeli wygrywającym jest natomiast człowiek ubogi, który woli pieniądze, aniżeli dzieło sztuki, w takim razie Towarzystwo odkupuje od niego obraz za połowę wartości i pomieszcza obok innych. Warstwa mniej zamożnych dostarczy najwięcej akcjonarjuszów, ponieważ nie jednemu będzie przyjemnie a nawet dogodnie, jeżeli za 5 lub 10, wygra 500 lub 5.000 guldenów!

Oto projekt krótki, i wcale nietrudny do przeprowadzenia. Potrzeba tylko chcieć.

Do myśli naszej wrócimy jeszcze w przyszłym tygodniu, aby jasno wykazać wszystkie jej strony dodatnie.

BYLE WYŻEJ!

POWIEŚĆ

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Stary Łukasz Swirski nie przeżył upadku swoich nadziei, umarł zostawiwszy małoletnie dzieci w opłakanym stanie majątkowym. Ostatnia wieś ich miała być wystawioną na licytację dla pokrycia długów. Opiekun małoletnich, chcąc im przyjść w pomoc i ratować, co można było, wymógł na okolicznych właścicielach ziemskich, że mu przyrzekli, iż żaden majątku tego licytować nie będzie, i w taki sposób majątek po cenie wywołanej miał się dostać napowrót w ręce dzieci. Opiekun udał się tedy do Jana, złożył u niego sumę wywołaną i zobowiązał go, by w dzień licytacji stawił się i majątek ten nabył na rzecz dzieci. Tak się też stało. Majątek wywołano w bardzo małej sumie, nikt nie licytował go wyżej, i Jan go nabył po cenie wywołanej. Kiedy potem opiekun dzieci przyszedł dziękować mu za tę usługę, Jan odrzekł najspokojniej:

— Nie masz pan za co dziękować, gdyż majątek ten nabyłem dla siebie i nie myślę go nikomu odstępować.

Opiekun z początku uważał to za jakiś żart niewczesny; tak mu się podobne postąpienie nieprawdopodobnem wydawało; gdy jednak potem przekonał się, że adwokat na serjo chce się dopuścić tak niecnego czynu, zaklinał go na wszystko, by nie krzywdził dzieci, które i tak w opłakanym znajdują się stanie, odwoływał się do jego uczuć obywatelskich, ludzkich, do jego honoru; ale naprożno. Jan nie tylko nie odstąpił takim podstępem nabytego majątku, ale jeszcze z pieniędzy, które mu dano na zakupno, strącił znaczną część tytułem honorarjum, jakie

mu się należało od nieboszczyka. Sprawa ta stała się głośną i wywołała okropne oburzenie w kołach ludzi uczciwych. Nie miano słów na wyrażenie pogardy dla człowieka, który się czegoś podobnego mógł dopuścić.

Jan mało zważał na krzyki ludzkie, z cynicznym uśmiechem znosił pogardliwe spojrzenia, gorzkie wyrzuty oburzonych i z zimną krwią przystąpił do wywłaszczenia małoletnich.

Jeszcze sprawa ta nie ucichła, kiedy drugi podobny czyn Dylskiego oburzył i przeraził opinję publiczną, jeszcze więcej niż poprzedni. Pewien znaczny urzędnik powszechnie szanowany odebrał sobie nagle życie. Powodem samobójstwa, było grube przeniewierstwo, jakiego się dopuścił. Suma sprzeniewierzona wynosiła 160.000. Zadziwiło to wszystkich, że człowiek żyjący tak skromnie, mógł się sprzeniewierzyć na tak znaczną sumę. Dopiero zeznania żony zmarłego rzuciły światło na tę tajemniczą sprawę. Pokazało się, że nieboszczyk ze zbytecznej troski o przyszłość swoich dzieci, w chęci zabezpieczenia im przyszłości, oddał się grze giełdowej, że użył do tego naprzód swoich uzbieranych pieniędzy, następnie zaciągnął od kogoś pożyczkę, a w końcu, plątając się coraz bardziej w interesach finansowych dopuścił się przeniewierstwa, które w skutek nagłego spadku papierów rosło z przerażającą szybkością; nieszczęśliwy, w nadziei że się tem uratuje, brnął coraz bardziej. Dalej pokazało się z zeznań żony, że nieboszczyk z obawy zwrócenia na siebie uwagi władz wyższych, nie grał sam, ale za pośrednictwem kogoś, który z łatwowierności jego i przykrego położenia ciągnął niemałe zyski dla siebie, że ten ktoś jak zły duch namawiał go do coraz ryzykowniejszej gry, z której sam tylko korzyść odnosił a w końcu namówił go do samobójstwa. Wszyscy wskazywali jednomyślnie Jana, jako owego złego ducha. Wiedziano, że urzędnik ów był z nim w jakichś stosunkach częstych, których natury wytłumaczyć sobie nie zdołano przedtem, gdyż urzędnik ów nieraz wyrażał się o nim z wstrętem i oburzeniem. Wieczorem, właśnie przed ową nocą, w której nieszczęśliwy odebrał sobie życie, widziano go wychodzącego dość późno od Jana; żonie, gdy go pytała przed udaniem się na spoczynek dla czego jest tak wzburzony odpowiedział: — Gniewa mnie, że łotry chodzą swobodnie, podczas gdy uczciwi ludzie ginąć muszą.— Słów tych nie zrozumiała, ale strzał z pistoletu który w kilka godzin później rozległ się w pokoju jej męża, wyjaśnił jej wszystko. Nie było wątpliwości, że tym człowiekiem, o którym z takiem oburzeniem mówił ów urzędnik przed dokonaniem samobójstwa, był Jan; jego jednego uważano za zdolnego do takiego czynu. Ale udowodnić mu niczego nie można było; prawo było bezsilne w obec przebiegłej przezorności, z jaką przeprowadził swój plan. Sąd nie mógł nawet pociągnąć go do śledztwa, bo nie było żadnych prawnych poszlaków; ale opinja wskazywała go palcem i nazywała zbrodniarzem. Jan wiedział o tem i drwił sobie z opinji, która nie mogła go ani przyaresztować ani wytoczyć mu procesu i spał spokojnie pod osłoną paragrafów i werthajmowskiej kasy. Majątek jego powiększał się szybko takiemi sposobami, jakich tu parę przytoczyliśmy; nie było to tajnem, że Jan posiada znaczne kapitały, a jednak ojciec jego nie mógł się doczekać, by mu syn kazał przestać poniewierać się po obcych kątach i wysługiwać obcym ludziom. Stary czekał z bijącem sercem na to słowo syna; ale Jan zdawał się nie myśleć o tem i podczas każdej wizyty ojca był tak zajęty, zbywał go tak zimno i krótko, że ten nie miał odwagi rozpocząć z nim o tem rozmowy. Aż raz zdecydował się napomknąć mu o tem że to nie ładnie dla niego samego, iż mając majątek taki pozwala ojcu pracować.

— Alboż ja próżnuję? — spytał Jan z przekąsem. — I jakąż to pracę ma ojciec? — To jest więcej zabawka niż praca. A trudno znowu nic nie robić, nie mieć żadnego zajęcia; to życie sprzykrzyć się może. Zresztą jeżeli ojcu pensja nie wystarcza mogę coś dołożyć.

Ojciec w milczeniu przyjął te słowa; zraniły go one dotkliwie. Nie tego on się spodziewał od syna. On marzył zawsze o świetnem życiu, dostatkach, a zamiast tego syn ofiarował mu jałmużnę. Mógł się był tego spodziewać po synu, który tak złej używał sławy u ludzi; a przecież stary mimo to miał nadzieję, że dla niego będzie innym. Wszak wilk, co się rzuca na ludzi i kąsa, wilczycę wita radosnem skomleniem. Stary przypuszczał nawet, że pozbawiony życzliwości ludzkiej, syn będzie chciał mieć przy sobie choć jedno życzliwe serce, jednego człowieka oddanego mu całkiem i wiernego. A któż mógł być lepszym do tego jak ojciec? Należało mu się to przecież za tyle lat pracy, starań się, hańby nawet, jaką poniósł dla szczęścia dzieci. Zdawało mu się, że tem wszystkiem zapracował sobie aż nadto jeżeli nie na miłość, to na wdzięczność. Spotkał go zawód bolesny w tym względzie; przekonał się, że był dla syna obcym, był niczem, z zimnego i obojętnego obejścia się z nim Jana łatwo mógł poznać, że go nie bardzo chętnie widzi u siebie i nie wieleby sobie robił z tego, gdyby go nie widział. Było to straszne odkrycie, tem boleśniejsze, że kryć się z tem musiał przed ludźmi i wynajdywać różne sposoby tłumaczenia takiego postępowania syna; tłumaczył że on sam nie chce być przy synu, bo przywykł do zajęcia i nie lubi próżnować. Mówił tak, bo wstyd go był przyznać się, że syn nie życzy sobie mieć go przy sobie. Ale właśnie dlatego, że kryć się musiał przed ludźmi ze swoją boleścią, boleść ta tem głębiej nurtowała i gryzła go. Unikał ludzi bo nie śmiał im spojrzeć w oczy, by nie wyczytać na ich twarzach politowania, które wydawało mu się urągowiskiem. Najczęściej chodził sam wieczorami po plantacjach, a trapiące myśli były jedynemi towarzyszami jego. Nie miał z kim pogadać, rozweselić się; wałęsał się z ławki na ławkę dla zabicia czasu; nic go nie ciągnęło do domu, bo tam również czekała go samotność i nuda. Nie taką starość obiecywał sobie.

Raz gdy tak łaził po plantacjach, przechodząc koło florjańskiej bramy, usłyszał na Kleparzu tony wesołej muzyki. Grano w karczemce, gdzie się odbywało jakieś wesele. Była to ta sama karczemka, w której widział przed parą latami swego ojca i siostrę. Przypomniało się mu to teraz i zastanowił się nad tem, co wtedy zrobił. To zastanowienie zmniejszyło trochę jego boleść i żal, jaki miał do syna.

— Jeszcze on nie taki zły — myślał sobie — bo on nie zapiera się mnie, a ja własnego ojca się zaparłem. Dobrze mi tak.

Własną więc winą usprawiedliwił syna i nie skarżył się już ani narzekał, ani słowem ni spojrzeniem nie przypominał synowi, że powinienby dać mu u siebie jaki kącik. Przypadek jednak wyręczył go w tem. Stary bankier Sztolce nagle żyć przestał. Mówiono że na apopleksję; ale oględziny lekarskie wykazały, ze bankier został skrycie zamordowany. Uwięziono służącego i rozpoczęto śledztwo. Ze śledztwa się pokazało, że w wieczór przed zamordowaniem bankiera syn jego, który ciągle prawie mieszkał w Wiedniu i którego bankier, jak mówiono, miał wydziedziczyć z powodu jego rozwiązłego i marnotrawnego życia, że syn jego Alfred był u niego: widział go pisarz z kantoru, który się z nim spotkał na schodach właśnie, gdy wracał od bankiera z gazetami. Buchalter potwierdził to także, zeznając że gdy odnosił klucze od kantoru na górę zastał przy bankierze syna jego. Na drugi dzień jednak nie było go już w Krakowie. Na podstawie tych zeznań sąd zażądał od wiedeńskiej policji uwięzienia tamże syna bankiera i ścisłego śledztwa.

Sprawa ta narobiła nie mało hałasu w mieście; zdania były podzielone. Jedni oburzali się nad straszną zbrodnią, inni wątpili, aby to syn zrobił i domyślali się innego sprawcy. Przypomniano sobie przy tej sposobności sprawę hrabiny S. w której pomimo tylu pozorów pokazała się w końcu jej niewinność. Mniemano więc, że i tu coś podobnego się pokaże.

Stary Dylski jednak nie wątpił w ojcobójstwo. Nie mógł nie wierzyć własnym oczom... Opowiadał synowi, jak młody bankier spotkawszy się z nim na schodach zmięszał się mocno i w pierwszej chwili chciał cofnąć się w głąb sieni by uniknąć tego spotkania.

— Twarz jego niepodobała mi się wtedy, mówił — miała w sobie coś potwornego, odstraszającego; zła myśl wcześnie już piętnowała go na zbrodniarza. O! to nie wątpliwie on zrobił. Okropnie pomyśleć, syn własnego ojca i za co? Za to że go wychował, dał mu sposób do życia, pracował dla niego. Okropne czasy!

Stary mówił te słowa z głębokiem przejęciem, w narzekaniach tych nad obcem nieszczęściem odzywały się także echa jego własnego żalu. Wyrzucając je z siebie ulżywał sobie. Syn słuchał zimno, z nachmurzonem czołem i nic nie mówił.

— Jak myślisz co mu zrobią za to?— spytał Dylski po chwili.

— To zależeć będzie od tego, jakie będą poszlaki przeciwko niemu.

— O! to się wykryć musi. Ja będę świadczyć i buchalter także.

— Tak, świadectwo takie może coś znaczyć.

— Będzie znaczyć — rzekł Dylski z za-

pałem. — Nie będzie mógł zaprzeć się swojej zbrodni, i sąd powinien go ukarać, ukarać okropnie, żeby dać straszną naukę złym dzieciom.

Jan zdaje się zrozumiał głębsze znaczenie tych słów ojca, w których tkwił także ostry wyrzut dla niego i chcąc przerwać tę niemiłą rozmowę przeszedł na inny przedmiot, a mianowicie zaproponował ojcu, aby teraz, skoro bióro bankiera zostanie prawdopodobnie na czas jakiś opieczętowane, przeniósł się do niego na mieszkanie. Wyznaczył mu pokoik tuż obok kancelarji i tego samego dnia Dylski spoczął pod jednym dachem z synem swoim. Nie sprawiło mu to jednak takiej przyjemności, jakiej się spodziewał był dawniej, może dlatego, że zadługo czekał na spełnienie tego życzenia swego, a może też zbyt zostawał pod przykrem wrażeniem śmierci bankiera, by mógł z całą swobodą oddać się własnemu szczęściu.

VIII.

W kilka dni po śmierci bankiera Sztolce nad wieczorem zatrzymała się przed mieszkaniem Jana Dylskiego kareta, wysiadła z niej jakaś kobieta w żałobie, zasłoniona gęstym woalem i szybko weszła na schody prowadzące do kancelarji adwokackiej.

Jan wrócił właśnie ze sądu i zajęty był przeglądaniem papierów, gdy służący wręczył mu bilet wizytowy obwiedziony czarną obwódką. Jan wziął bilet do ręki i spojrzawszy nań poruszył się żywo na krześle, jakby się dotknął stosu elektrycznego. Wpatrywał się czas jakiś w bilet i oczom własnym nie wierzył. Na bilecie był napis litografowany Helena ze Sztolców baronowa Rosenkranz. To nazwisko zbudziło w duszy Jana odległe wspomnienia roskoszne i przykre zarazem; równocześnie przypomniał sobie zalotne spojrzenia Heleny i jej dumny ruch, którym wskazała mu drzwi i mówiła: „precz“, przypomniał sobie nadzieje swoje i upokorzenie, całus i policzek. Sprzeczne te wrażenia zerwały się naraz w nim, tłoczyły się do głowy i przyspieszały uderzenia pulsów. Po kilku latach miał znowu zobaczyć tę kobietę, która umiała kiedyś tak silne wzbudzić w nim uczucie i jakiejkolwiek było ono natury, zawsze było to jedno z cieplejszych uczuć w jego życiu. I ta kobieta, która to uczucie kopnęła nogą i obraziła do żywego, przyszła teraz sama do niego. Po co? sam jeszcze nie wiedział po co; jednak duma jego była już po trochu zadowolona tem, że przyszła. Nienasycone jeszcze uczucie zemsty odżyło nadzieją zadośćuczynienia. Te wszystkie uczucia najsprzeczniejsze tak chaotycznie kłębiły się po jego głowie, że potrzebował jakiegoś czasu, by zebrać myśli, przyjść do równowagi. Lokaj czas jakiś czekać musiał zanim adwokat ochłonął nieco ze wzruszenia i mógł powiedzieć mu przytłumionym nieco głosem:

— Prosić!

Weszła kobieta w żałobie.

Mogła mieć lat najwyżej dwadzieścia pięć; piękność jej była w pełnym rozkwicie zmysłowych powabów; ruchy i spojrzenia wyrażały pewność kobiety żyjącej w świecie, przyzwyczajonej panować i zdobywać a twarz jej świadczyła, że umiała i lubiła używać życia. Nawet w tej chwili choć twarz ta pobladła a zmartwienie wypisało szerokiemi cieniami ślady pod oprawą błękitnych oczów, robiła wrażenie więcej ponętne jak poważne.

Jan ukradkowem spojrzeniem ogarnął wchodzącą i w milczeniu wskazał jej krzesło, na którem usiadła zmęczona. Chwilę odpoczywała i zdawała się czekać na zapytanie adwokata; ale ten milczał uparcie. Wreszcie rozpoczęła sama:

— Domyślasz się pan zapewne — rzekła — w jakim celu tu przychodzę.

— Nie jestem domyślny — odparł sucho. — W każdym razie będzie to zapewne proces jakiś.

— Tak proces nieszczęśliwy, okropny — rzekła z głębokiem westchnieniem — od którego zależy życie mego brata i dobre imię naszej rodziny. Wiesz pan jakie nieszczęście spotkało nas. Brata mego posądzają o czyn straszny.

— Słyszałem o tem — rzekł obojętnie.

— Brat mój jednak jest niewinny; stał się ofiarą jakiejś podstępnej intrygi.

— Źle pani powiedziano. Brat pani przyznał się do tego wszystkiego podczas swego uwięzienia. Doniesiono mi o tem z Wiednia.

— Więc pan wiesz już o tem?

— I pani wiedziałaś? — spytał topiąc w niej badawcze spojrzenie.

— Wiedziałam — odrzekła spuszczając oczy — byłam wtedy jeszcze w Wiedniu. Ale ja wierzę, że zrobił to wyznanie w przystępie jakiegoś rozstroju moralnego. To nie podobna!

— Są świadkowie.

— Więc nie ma nadziei uratować go?

— Niech się pani uda do adwokatów. Mogą go bronić.

— Mnie nie idzie o to, aby brat mój był broniony; ale żeby był obroniony, uniewinniony i dlatego przyszłam do pana. Pan byłeś jego przyjacielem, pan nie pozwolisz na to, aby ginął sromotnie. Hańba Alfreda spadnie i na nas, na cały nasz dom.

— Czy pani sądzisz, że mnie tak wiele obchodzi honor rodziny Sztolców? — spytał z ironją i kłuł ją spojrzeniem pełnem urągania.

Helena ściągnęła brwi dumnie i odrzekła prędko:

— Mówię to panu tylko dlatego, abyś wiedział, jak ważną dla nas jest ta sprawa, że nie ma takiej ofiary, którejbyśmy nie zrobili dla ocalenia Alfreda. Żądaj pan ile zechcesz, tylko ratuj go.

Jan zamyślił się; spojrzenie utkwił nieruchomo w podłodze i gryzł paznokcie w zamyśleniu. Helena czekała niecierpliwie na odpowiedź, z twarzy jego radaby była wyczytać ją co prędzej; ale twarz Jana była nieczytelną w tej chwili jak zadymiony papier.

Po chwili namysłu potrząsnął głowę i rzekł stanowczo:

— Nie przyjmuję tej sprawy.

— Dlaczego? — spytała z rozpaczą Heleną.

— Dlaczego? — spytał się i uśmiechnął się przerażająco. — Dlaczego? Bo to, co mnie ofiarować możecie, choćbyście dali mi najwięcej, nie może mi sprawić takiego zadowolenia, jakie mi da upokorzenie wasze. Wyście umieli upokarzać; teraz się dowiecie, jak to smakuje upokorzenie, hańba. Pani sądzisz, że ja zapomniałem o zniewadze, jaka mnie spotkała? Ja pamiętam dobrze, przebaczać nie umiem, a że się dotąd nie zemściłem to nie dlatego, że nie chciałem, tylko, że nie mogłem. Przypadek mnie wyręczył, byłbym głupcem, gdybym mu przeszkadzał.

— Więc pan tak srodze chcesz się zemścić za jeden nierozważny czyn młodej dziewczyny, którego potem może bardzo żałowała?

— Ta młoda dziewczyna miała jednak na tyle rozumu, że umiała złudnemi pozorami miłości obałamucić niedoświadczonego człowieka, że umiała wyrafinowaną kokieterją wabić go a zarazem trzymać w pewnej odległości jak psa na łańcuchu, którego drażnią zdaleka pokazywanym kawałkiem chleba, a gdy pies zerwał łańcuch i skoczył po to, co mu obiecywano, wypędzono go za drzwi. Czy nie tak było? I teraz pani przychodzisz do tego człowieka i chcesz, by za to bronił was od niesławy? Na to trzebaby może anioła, a ja nie mam pretensji do anielstwa.

Kobieta, zamiast się tłumaczyć i usprawiedliwiać, słuchała w pokornem milczeniu słów jego. Gdy skończył, osunęła mu się do nóg i chwytając go za rękę wyszeptała błagalnym głosem:

— Przebacz mi ten błąd mojej młodości, nie karz mnie za to tak okropnie!

Równocześnie uczuł Jan na ręce swojej dotknięcie jej ust ciepłych, wilgotnych.

— Co pani robisz? — rzekł zażenowany i usiłował ją podnieść.

— Nie wstanę — rzekła opierając mu się — dopóki nie przyrzekniesz mi, że nas uratujesz.

— To nie odemnie zależy — zbrodnia widoczna — rzekł zmiękczony widocznie prośbą i skruchą klęczącej.

— U pana nie ma nic niepodobnego. Jeżeli zechcesz ocalisz go!

— Wstań pani.

— Przyrzekasz mi pan?

— Muszę pierwej rozpatrzyć sprawę, zbadać okoliczności.

— Więc przyjmujesz pan? — spytała wstając z ożywioną nadzieją.

— Przyjęcie sprawy nie jest jeszcze wygraną.

— Skoro pan jej bronić będzie, nie mogę wątpić, że będzie wygraną.

Jan uśmiechnął się z pewną dumą; wnet jednak wrócił do dawnej powagi i rzekł:

— Wierzysz pani, że zbrodnia ma we mnie dobrego obrońcę. Zapewne powiedziano pani, że jest jeden adwokat, który podejmuje się każdej najgorszej sprawy, najnieuczciwszego procesu i dlatego przyszłaś do mnie; a potem, gdy mi się uda wydobyć brata z kryminału, będziesz mną gardzić jak tylu innych.

— Będę błogosławić pana! — rzekła chwytając go znowu za rękę — będę chciała wynagrodzić ci winę moją i łaskę twoją.

— O wynagrodzeniu pomówimy później — rzekł Jan cofając swoją rękę, by po jej drżeniu nie spostrzegła Helena wzrusze-

nia, jakie go ogarnęło. Nie chciał, by poznała, jak silne wrażenie robiła na nim. — Muszę pierwej rozpatrzeć się w sprawie. Czy brat pani jest jeszcze w Wiedniu?

— Jest, i o ile wiem ma być przywieziony do Krakowa z końcem tego miesiąca.

— Mamy więc nie wiele czasu. W tym tygodniu jeszcze będę musiał być w Wiedniu. Czy pani wracasz tam także?

— Wrócę za kilka dni.

— Bądź pani łaskawa zostawić mi swój adres.

Wyjęła małą karteczkę z pugilaresiku i napisała na niej:

„Opernring Nr. 6. erster Stock".

Jan odebrał kartkę, przeczytał i rzekł:

— Skoro się lepiej poinformuję w tej sprawie, będę u pani i odpowiem stanowczo, czy będę mógł co zrobić.

— O! dziękuję panu za tę dobroć — rzekła zbliżając się do niego.

— Nie masz pani za co dziękować — rzekł sucho — jeszcze nic dla pani nie zrobiłem. Do widzenia.

Za chwilę słychać było na ulicy turkot odjeżdżającego powozu. Jan patrzał przez okno za powozem i długo jeszcze potem stał tam w zamyśleniu zdrapując bezwiednie kit paznokciem, potem gwałtownym ruchem ocucił się, jakby chciał wydobyć się z tych myśli, w których grzęznął i rzekł głosem, który był więcej podobny do syku węża:

— Ha, nie myślałem, że ta kobieta tak silnie będzie jeszcze działać na mnie.

Pokora, do jakiej zniżyła się kobieta tak dumna jak Helena, rozbroiła całkiem jego zawziętość. Pocałunek jej zapłacił mu dostatecznie zniewagę, jaka go kiedyś spotkała, i rozbudził na nowo w nim uśpioną przez tyle lat namiętność. Czasami przychodziło mu na myśl, że jej pokora, może być również udaniem, jak niegdyś sympatja, którą go łudziła, że może potem wyśmieje się z jego łatwowierności, i wtedy chciał cofnąć się od wszystkiego i napisać do niej, iż nie podejmuje się prowadzić procesu. Ale ta uparta miłość własna, która nie pozwala człowiekowi wyrzec się dobrowolnie miłych nadziei nie pozwoliła mu dać za przegrane tej sprawie i wyrzec się tych przyjemności i korzyści jakie mu obiecywało obecne jego stanowisko względem Heleny. Zerwać więc nie chciał odnowionej w tak niespodziewany sposób znajomości, postanowił tylko działać ostrożnie.

Niebawem zajął się procesem Alfreda.

(C. d. n.)

Kobiety w Algierze.

Napisał

Dr. Jan Stella Sawicki.

(*Ciąg dalszy.*)

Rzućmy teraz okiem na stan kobiet północnej Afryki pod względem religijnym. Gdyby kobieta uważaną była za niższe stworzenie od mężczyzny, źródło tego niechybnie znalazło by się w Koranie, ale tego nigdzie tam nie ma. W Afryce można często widzieć kobiety bardzo szanowane przez dzieci Proroka, kobiety które nauczają wiernych i objawiają im prawdziwe znaczenie słów pisma świętego. W niektórych miejscach w Algierze są kapliczki (marabu, gubby) poświęcone na pamiątkę tych, które słynęły z cnót i bogobojności i bardzo często można słyszeć opowiadania o ich życiu, rozmowach, odpowiedziach i wyrokach w sprawach trudnych, które były pod sąd ich oddane. Około miasta Bugii jest grób świętej dziewczyny, która według podań miejscowych codziennie wychodziła na górę Guraja i lud nauczała. Niedawno jeszcze tamże córka jednego marabuta za życia słynęła jako święta kobieta. Zbierała ona jałmużnę dla biednych około grobu ojca swego i znano ją pod imieniem „córki szejka". W Algierze, Tunisie i Marokko można często napotykać Araba, który zowie się synem „takiej" zamiast synem „takiego," żeby zachować pamiątkę o matce, która była poważaną i słynną w kraju ze swego rozumu, pięknego charakteru, lub bogobojności. I teraz na granicy prowincyi Oranu jest stara kobieta, bardzo surowa lecz sprawiedliwa, słynna ze świętego życia. Do niej zwykle udają się kobiety w kłótniach i sporach między sobą. Winne dają pewną ilość jaj i masła biednym, a czasami stara ta Minos własną ręką wymierza kary, którym zwykle tylko dzieci ulegają.

Równie jak mężczyzna każda kobieta powinna spełnić wszystkie obowiązki włożone na wiernych prawem Proroka i choć raz w życiu z bratem lub mężem odbyć pielgrzymkę do ziemi świętej, to jest do grobu Mahomeda. W razie zaś gdyby była wdową lub rozwódką, powinna zawrzeć związek małżeński tylko na czas pielgrzymki, po której ta para rozchodzi się znowu, jeżeli długa podróż nie zbliżyła ich o tyle żeby chcieli zostać połączeni na dłużej. To się nazywa „małżeństwem pielgrzymki." Dając to przykazanie Mahomed chciał wstrzymać kobiety od nierządu w miejscu świętem przeznaczonem na posty i modlitwę.

Po powrocie mężczyzna otrzymuje nazwę el hadż (pielgrzym), a kobieta el hadża. Znaczenie kobiety arabskiej pod względem religijnym okazuje się najwięcej wtedy, gdy jest złożona na łożu śmierci. Wtedy to muzułmanka jest otoczona oznakami największego poszanowania. Dzieci przywołują, żeby usłyszeć ostatnie słowa, ostatnią wolę matki i odebrać od niej błogosławieństwo. Mąż, według zwyczaju, powinien prosić żonę o przebaczenie za wszystkie przykrości, których doświadczyła podczas pożycia. Jeżeli przedtem była niezgoda pomiędzy nimi, krewni i przyjaciele używają wszystkich środków, żeby mąż przyszedł do żony i powiedział: „W imię Boga, przed którym ty wkrótce staniesz, przebacz mi za przeszłość." Człowiek, który nie wypełnił tego ostatniego obowiązku względem żony, zasługuje na wzgardę prawowiernych, którzy go palcami wytykają, wołając: —„Oto człowiek, któremu żona umarła, nie dawszy mu przebaczenia."— Nieszczęścia, którym ulegali czasami tacy ludzie, przypisywały się niespełnieniu tego wiekami uświęconego zwyczaju. Umierająca kobieta nigdy i nikogo nie prosi o przebaczenie, bo „życie jej było miłością dla męża, dla dzieci i dla kraju."

Każda muzułmanka przed śmiercią powinna świadczyć, że umiera w swojej wierze powtórzeniem religijnej formuły: La illach il allach Mahomed rusul Allach — niema Boga oprócz Boga i Mahomed prorok jego. Jeżeli chora mówić nie może, powinna pokazać że świadczy (szehedda), kładąc wielki palec jednej ręki na ustach. Umierających zawsze naprowadzają na myśl, że każdy powinien dać to świadectwo, ale nie pozwala się przypominać o tem choremu, bo to jest przeciwnem woli Proroka. Jednak żeby dać im do zrozumienia czego wymaga religja, powtarzają tylko często przed niemi wyżej wspomniane sakramentalne słowa.

Jeżeli chora skona bez dopełnienia tej formalności, mniemają wówczas, że opuściła ziemię nie w stanie łaski, atoli pewnemi tego nie są, bo Bóg jest jedynym sędzią. „On postanowi."

Gdy kobieta umrze, umywają ją i ubierają: następnie przychodzą duchowni, którzy czytają nad nią modlitwę; potem następuje pożegnanie krewnych i przyjaciół. Jeżeli umarłą jest stara kobieta, ucinają jej włosy, zostawując dla rodzeństwa jako „baraka" czyli przedmiot błogosławieństwa. W miastach przywołują „guala" czyli improwizatorkę, która usiadłszy przy łożu zmarłej i rozpuściwszy włosy bierze tamburyn do ręki i potrząsając nim improwizuje wiersze, w których opiewa cnoty i piękność zmarłej.

Ceremonja pogrzebowa odbywa się z takiemiż samemi honorami jak przy pogrzebie mężczyzn, a po pogrzebie rozdaje się jałmużna biednym według pięknego zwyczaju istniejącego u prawowiernych przy wszystkich religijnych ceremonjach.

Wielkie złe pod względem stosunków kobiet z mężczyznami jet dozwolone muzułmanom wielożeństwo, ale i na to potrzeba patrzeć ze strony arabskiej cywilizacji. Biedny rolnik zwykle ma tylko jedną żonę. Jeżeli fortuna jego powiększyła się, jeżeli pierwsza żona zestarzeje, on bierze drugą i bardzo często na prośbę pierwszej żony. Na wielożeństwo u Arabów nie należy patrzeć jedynie ze strony zmysłowych pobudek. Życie w społeczeństwie arabskiem jest tak urządzone, że prawie wszystko, czego potrzeba w gospodarstwie, wyrabia się w domu: pożywienie, odzienie, namiot i t. d. Jedna kobieta wszystkiemu podołać nie może, a gdy jedna żona gotuje jedzenie, druga pierze bieliznę, trzecia zajęta tkaniem burnusu i t. d. Być może iż gdy Arabowie wejdą w bliższe stosunki z Europą, gdy obaczą iż daleko dogodniej kupować z fabryki te rzeczy, które pierwej wyrabiali u siebie pod namiotem, gdy przekonają się, iż dla robot w domu jedna żona wystarcza, wielożeństwo upadnie i kobieta stanie na tej stopie, na jakiej stać powinna, nie tracąc wpływu swego na społeczeństwo arabskie.

Bogaci ludzie nie mają potrzeby pracować, i dla tego kobiety u nich znajdują się w stanie daleko więcej poniżonym. Znałem szejka, który miał 25 żon, które leżąc na miękkich poduszkach, w próżniactwie dni swe przepędzały. W takiem pożyciu traci się wstyd niewieści; zazdrość, nienawiść rodzą się w namiocie i faworytki władcy giną jedna za drugą otrute rękami zazdrosnych rywalek.

Żeby nie opuścić żadnej strony życia kobiet arabskich muszę jeszcze opisać kawiarnie arabskie, gdzie tańczą bajaderki „zbierające posag."

Gęsty dym tytoniu, przy wejściu, nie pozwala z początku dopatrzeć żadnego przedmiotu, tylko słychać ze wszystkich stron gardłowe nóty charakteryzujące arabską mowę, do których dołącza się piskliwy głos klaryneów grających prawie ciągle jedną i tęż samą zwrotkę. Powoli wzrok zaczyna rozróżniać przedmioty. Maury w opiętych ubiorach, Arabowie w niezmiennych swych białych burnusach, siedzą paląc fajki, lub stoją oparci o kolumny, poglądając na środek podwórza, które dom otacza i na którem tańczy

młoda maurytanka ubrana w najbogatsze odzienie. Dziwny to taniec! Z włosami rozpuszczonemi, z okiem zaiskrzonem, z zarumienionemi policzkami i z uśmiechniętemi usty, młode dziewczę obraca się w około. Jej głowa w tył odrzucona jest prawie nieruchoma, ale ciało w nieustannym ruchu. Z ust jej wyrywają się dźwięki pieśni arabskiej, której pierwszą zwrotkę pamiętam:

Młodzieńcze, czego szukasz na mem łonie,
Czyś zoczył granat pozłocony od słońca?...

Erotyczna pieśń, śpiewana melancholijnym głosem, w piersiach zamierające dźwięki mają w sobie coś niezwykle dzikiego i namiętnego. Zdawało się, że gorączka tancerki przeszła w piersi słuchaczy. Niektórzy siedzieli w niemem zachwyceniu, drudzy odrzuciwszy na stronę flegmę narodową, śmiali się, śpiewali patrząc na tancerkę; wielu nawet, niech im Mahomed przebaczy! ciągnęli wódeczkę. Scena była oświetlona świeczkami z wosku żółtego; nad głową naszą błyszczały gwiazdy, a księżyc srebrzył piętro i galerję tego arabskiego domu. Jeden z Arabów, który z niemym zachwytem patrzał na taniec i słuchał pieśni bajaderki, powstał ze swego miejsca i zbliżył się do niej. Potem wyjąwszy z pugilaresu kilkanaście srebrnych monet ślinił je i przykładał do czoła i twarzy dziewczyny, która ciągle tańcząc zdawała się wpadać w zachwyt i obłąkanie. Gdy odstąpił Arab dziewczę wyprostowało się i pieniądze upadły na szal, który tańcząc trzymała w ręku. Oryginalna ta ceremonja powtarzała się przy mnie razy kilka, a młody Maur stojący przy mnie objaśnił, że pieniądze te pochodzą ze składek słuchaczy. Gospodarz domu otrzymywał część tego zbioru, dla tego też posyłał tancerkę za tancerką nieprzerwanie, żeby obrazem zmysłowej roskoszy wyłudzić jak najwięcej pieniędzy. Na balkonie pierwszego piętra siedziało w różnych pozycjach kilkanaście bajaderek. Wszystkie były piękne, zgrabne, lekkie, ale żadna myśl nie odbijała się na ich bladych twarzach.

Nim złożę pióro muszę opowiedzieć o małym dramaciku odegranym w północnej Afryce, dramaciku, którego aktorowie byli mi znani, opisanie to rzuci także pewne światło na stan kobiet tutejszych.

Ben-Saana, Kaid kabilskiego plemienia około Setyfu, był zupełnie oddany Francuzom. Od niego dowiadywali się oni o stanie umysłów w Kabilji, o gotujących się powstaniach, o miejscu zebrania nieprzyjaciół; dla tego też nie był lubiony od swoich rodaków jako zdrajca kraju; lecz że miał liczną i bogatą rodzinę, która nań patrzyła jako na przywódzcę, całe plemię było uległe Francuzom, ci zaś widząc wierność Ben-Saany ile mogli podtrzymywali znaczenie jego pieniędzmi i wojskiem. Dla ciągłego porozumienia się, jenerał Bosquet naznaczył dywizyjnego tłumacza, pana Roberta Ferrand, człowieka młodego, przystojnego, energicznego i słynnego ze znajomości języka i obyczajów mieszkańców Kabilji.

Kaid miał dwie żony i córeczkę, młode, ładne dziecko, które tak się podobało p. Ferrand, że zawsze gdy przyjeżdżał do ojca przywoził dla niej cacka, różne słodycze i błyskotki. Dziecię przywiązało się do niego całem sercem, całą mocą uczucia tak silnego w plemioniach południowych i zawsze było uszczęśliwione, gdy młody Francuz odwidzał ojca.

Na dwa lata przed przybyciem moim do Afryki umarł Kaid Ben-Saana i żona jego pierwsza, matka małej Mariem. Gdy p. Ferrand przybył odwidzić Kaida nie znalazł go już przy życiu. Młode dziewcze rzuciło mu się na szyję mówiąc: — „Byleś przyjacielem ojca mego, lubiłeś mnie jako dziecko, nie opuszczaj mnie, bądź doradzcą moim i opiekunem na przyszłość!“ — Spojrzawszy na nią p. Ferrand spostrzegł nadzwyczajną zmianę: Mariem przestała już być dzieckiem, bo natura rozwija kobiety w Afryce nadzwyczajnie szybko. W jej oczach, słowach i uścisku więcej było ognia jak w oczach, słowach i uścisku dziecięcia. P. Ferrand obiecał nie opuszczać jej nigdy i odjechał, czując jakąś trwogę, niespokojność i nieznane lecz błogie uczucie. Czy to nie miłość? pomyślał i sam się rozśmiał z tego, bo zdawało mu się niepodobieństwem pokochać zaledwo rozwinięte dziewczę z plemienia pogardzonego przez Francuzów i pokochać z jednego wejrzenia, a jednak myśl ta przez długie dni nie dawała mu spokoju.

W rok potem cała Kabilja powstała. Plemię, które było wstrzymane tylko silną wolą zmarłego Ben-Saany, przyłączyło się do powstańców, młodzież poszła w góry; sąsiedztwo atoli z francuską fortą zmusiło starszych udawać zupełną uległość Francuzom, żeby nie ściągnąć na siebie niechybnej a srogiej kary.

Wiedząc o udziale plemienia Ben-Saany w ogólnem powstaniu, i chcąc dostać języka, jenerał Bosquet posłał w tamte strony p. Ferrand z pięćdziesięciu jezdcami, rozkazawszy mu bacznie obserwować plemię i spalić wieś przy pierwszym nieprzyjaznym ruchu. (Dok. n.)

Starożytność kuli ziemskiej
i
nieco z dziejów jej rozwoju.

Przez
Dr. F. H. Kleina.

(Ciąg dalszy).

Pierwotny stan naszej dziś powabnej ziemi, to obraz wcale nieponętny i ma tę zaletę tylko, że prawdziwy, a tę znowuż wadę, że trudno dobrać farb dosyć jaskrawych, ażeby oddać przerażające strony tego obrazu. To bowiem, co dziś postrzegamy gdzieniegdzie na naszej kuli ziemskiej, a co nas chwilowo przeraża i napełnia zgrozą, jak dajmy na to: wybuchy wulkaniczne ogniste bagniska Hawai, trzęsienia ziemi, zalewy morskie itp. czemże to wszystko w obec pierwocin stanu ziemi przedstawiającej się jak jednolity ocean ognisty?!

Z czasem jednak, oczywiście bardzo odległym od dzisiejszego, zmieniło się wszystko. Skwary przesiliły się, młodociana gorącość ziemi ostygła i i nastał okres nie tyle okropnością straszny, przyjaźniejszy. Wprawdzie i ówczesnemu, łagodniejszemu poniekąd okresowi nie bardzo było można dowierzać, gdyż zbyt jeszcze cienka skorupa ziemi poczęści ustalona, topniała niekiedy ziejąc ogniem, ale pomału ustalała się przecież powierzchnia twardsza, obejmując zimniejszemi coraz ramiony wulkaniczne serce naszej planety. Skoro tylko powierzchnia ziemi stwardniała do tyla, że mogły się na niej utrzymać żyjące istoty, takowe pojawiły się na niej. Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że pomiędzy żyjącemi podówczas istotami, byli także ludzie; ci na ostatku dopiero jawią się na ziemi i to bardzo późno. Ale natomiast rośliny i zwierzęta, których całe tłuszcze ukazują się przed przyjściem naszem, należą z wielu względów do osobliwości. Wiele z nich co do wielkości, wzrostu, dziwacznej powierzchowności, prześcigają w istocie najbujniejszą wyobraźnię. Baśń poetyczna nie stworzyła tak oryginalnych opowieści o potworach, jakie istniały w samej rzeczy. Jest to znowuż dowodem, jak ubogą jest nasza wyobraźnia w porównaniu z twórczością olbrzymiej przyrody.

Nie mało tysięcy tych stworzeń wygrzebała umiejętność z mogił, w których spoczywały od dawna, od bardzo dawna. Skamieniałe ich szczątki zebrano skrzętnie, zbadano należycie i zbudowano ze skieletów całość. Rzecz to godna uwagi, że wszystkie te organiczne istoty tem bardziej różnią się od istniejących dziś na ziemi, im starsze, to jest o ile dawniejszy ich żywot.

Przypatrzmy się naprzykład skamieniałemu rakowi ze starego, czerwonego piaskowca Szkocji. Cóż to za ogromny potwór 2 do 3 stóp długi, na poły rak, a na poły ryba. Olbrzymie jego nożyce zębate jak szczęka rybia, a skorupa jak pancerz drobnołuskowy. Ale w rodzie swym ma krewniaka, wobec którego wygląda jak dziecię, jest nim siedmiostopowy problematyczny Pterygotus (*Pterygotus problematicus*), którego szczątki znaleziono na Szląsku.

Z perjodu ówczesnego, to jest formacji pierwszorzędowej, a z gromady zwanej Dewońską*), znane są w ogóle jedynie kręgowce klas niższych, po większej części ryby. Dowód to oczywisty, że podówczas wszystkie te stałe lądy, na których znajdujemy dziś rzeczone szczątki, zalane były wodą mórz. Ryby z owych czasów tak dziwaczne mają kształty, że pomimowolnie zapytuje człowiek: jakim cudem potwory takie mogły pływać? Napotykamy tu naprzód rybę skrzydlatą, podobną do ryby pancernika, któremu by przyczepiono pomiędzy głową a tułowiem nożyce raka. Ogon jedynie kończasty był bez tarczy, ale pokryty za to łuską podobną do dachówek glinianych. Nie ulega prawie wątpliwości, że kły, nożyce czy też ramiona tego zwierzątka, służyły mu nie tylko do wiosłowania w wodzie, ale oddawały także posługę skuteczną jako broń zaczepno-odporna.

W następnym, bezpośrednio po okresie Dewońskim następującym perjodzie, tak zwanym węglowym (stanowi on gromadę pierwszą w formacji drugorzędowej ziemi) — otóż w tym okresie nie znajdujemy już żywych zwierząt z gromady dewońskiej. Wyginęły one do szczętu i leżą pogrzebane w gruzach i rumowisku, stanowiąc poniekąd egzemplarze okazowe dla zbiorów muzealno-przyrodniczych XIX wieku. Okres węglowy otwiera nam za to świat zupełnie nowy, z gruntu przeistoczonych stworzeń organicznych.

Wiadomo powszechnie, że roślinność jest matką węgla kamiennego, a olbrzymie pokłady tej czarnej istoty, która co do czasu jest bratem białego dyjamentu, pochodzą właśnie z okresu węglowego. Ówczesny ląd stały ocieniały ogromne, nieprzebrane lasy, a parna i wilgotna atmosfera wpływała na niesłychanie bujny rozwój roślinności. Burze, wieki, potopy, wznoszenie się, to zagłębianie poziomu ziemi itp. igrzyska, pogrzebały nie mało z owych lasów pierwotnych

*) Gromada Dewońska w formacji pierwszorzędnej jest z kolei gromadą w geologji trzecią, a nazwaną tak została przez badaczy dlatego, ponieważ badań posuniętych w tym kierunku najdalej dokonano w hrabstwie Devon w Anglji. (Przyp. autora).

w otchłani ziemi. Po wielu zaś, wielu wiekach powstał z owych miljonów pni i drzew dzisiejszy nasz węgiel. Nawet teraz w kopalniach węgla nie trudno rozpoznać bardzo wyraźne kształty dawniejszych pni drzewostanu; niektóre z nich stoją nawet pionowo jak olbrzymie słupy z kamienia. Robotnicy kopalń zwą je fajkami węglowemi i mają wielki respekt dla tych fajek, gdyż niejednokrotnie słup taki obala się i zabija albo kaleczy zajętych w pobliżu pracowników.

W lasach z okresu węglowego przebywał nieprzeliczony świat zwierzęcy, nie mniej potworny i niemniej dziwaczny jak owych istot gromady dewońskiej. Płazy założyły tu były przeważnie królestwo swoje. W pokładzie węglowym napotykamy najprzód wielkiego, tarczowego jaszczura. Dziwna rzecz, iż jakby na przekór wszelkim rewolucjom ziemi, potomstwo tego potworu przechowało się do dziś pod postacią żarłocznych i obrzydliwych krokodyli i alligatorów. Zuchwałe to, żarłoczne a wcale nie zmyślne plemię, napotykamy najprzód w pokładach okresu węglowego. Cielska ich jednak nie dosięgają w czasie węglowym tak olbrzymich rozmiarów i przypominają z wielu cech ryby. Ale w następnym zaraz okresie kształtowania się ziemi, rozrastają się obrzydliwe te potwory zdumiewająco, mnożą się i zagrażają siłą innym zwierzętom. W walce z temi potworami ulegał prawdopodobnie wszelki inny zwierz. Chwilą najpotężniejszego rozwoju jaszczurów jest perjod Jurasowy (w geologji perjod ten jest czwartą gromadą formacji drugorzędowej, a nazwany od badań geologicznych w górach Jura.) W gromadzie tedy Jurasowej napotykamy płazów tych niezliczone mnóstwo w najrozmaitszych kształtach i nierównego rozrostu. O kilku zaledwo jaszczurach napomkniemy tu szczegółowo. Naczelne miejsce należy w tem gronie potworów odkrytemu przez *Bucklanda* olbrzymiemu jaszczurowi Megalo (*Megalosaurus*). Przebywał on po większej części na stałym lądzie i nie sprawiał prawdopodobnie przyjemności obecnością swoją innym zwierzętom. Długi ten bowiem smok, zajmujący korpusem swoim 50 sążni wzdłuż, pokonywał bezwątpienia wszelkie inne stworzenia.

Bliskim kuzynkiem jego był, kto wie czy nie większy nawet, ale nie tak żarłoczny jaszczur Inguanodon. Mnóstwo kości tego potworu znaleziono na wyspach brytańskich. Było to jednak stworzenie łagodniejsze, świadczą bowiem szczątki żuciem wygładzonych jego zębów, iż poprzestawało przeważnie na pokarmie roślinnym. Równie i w tym okresie jak w innych zwycięstwo i żywot dłuższy jest własnością stworzeń mięsożernych a nie roślinożernych, ginących i niknących wcześniej.

Otchłanie mórz z owego okresu przepełnione były potwornemi rybo-jaszczurami, Ichtyosaurusami, stworzeniami rozmiarów olbrzymich. Co do sposobu ich życia i żarłoczności były one bardzo podobne do dzisiejszych rekinów, ale silniejsze od nich i prawie niepokonane. Jeszcze przed 120 laty, pierwszy badacz, który odkrył szczątki tego zwierzęcia, zauważył wielkie podobieństwo do rekina. Czaszka u tego potworu jest niesłychanie wielkich rozmiarów, gdyż stanowi prawie piątą część całego cielska, a zakończona ryjem, w którym mieści się wiele okrągławych zębów. Sądząc z nadzwyczaj silnej budowy szczęk można śmiało twierdzić, że wszystko, cokolwiek dostawało się w paszczę potworowi, musiało być na miazgę zgruchotane. Zadziwiającą także była objętość oczu, które zajmowały blisko piątą część całej czaszki i obwiedzione były grubą kością płaską. Odpowiednio do całej budowy korpusu, znajduje się słup kręgowy (pacierzowy) bardzo silny, składający się ze 150 blisko kręgów. Słup kręgowy kończył się prawdopodobnie płetwą równoległą, a cały ogromny korpus spoczywał na czterech olbrzymich nogach, pokrytych skórą łuskową. Nie rzadko napotyka się w szczątkach skamieniałych szkieletów potwornych czarną massę, w której łatwo rozeznać łuski rybie lub też brudnawe pęcherzyki mięczaków sepiowych. A bywało i tak nieraz, jak mówi przysłowie, że zje pies psa gdy niema barana i w braku innego pożywienia, pożerały te potwory jeden drugiego. Objętość tych jaszczurów wynosiła 20 do 25 stóp. *Plesiosaurus*, jaszczur, którego szczątki odkryto dotychczas tylko w Anglji, odróżnia się bardzo od opisanego powyżej swego kuzynka. Gdy u tamtego postrzegamy łeb olbrzymi osadzony prawie bezpośrednio na grubem cielsku, to u Plesiosaurusa widzimy łabędzią niemal szyję a mniej stosunkowo małą głowę. Nie bez racji więc pewnej porównywano w Anglji to zwierze do żółwia, ciągnionego przez węża.

O ile z pojedyńczych okazów sądzić można, to długość tego zwierzęcia nie przechodziła stóp 11. W wodzie pływał ten jaszczur, a długa jego, silna, ale oraz ruchoma szyja mogła mu oddawać posługi podczas łowienia zdobyczy. Na fantastycznych obrazkach geologicznych widzimy niekiedy oddaną walkę Ichtyosaurusa z Plesiosaurusem, czy tak bywało — nie przesądzamy. To jednak pewna, że z takiej walki nie mógł nigdy wyjść zwycięzko Plesiosaurus, gdyż był to jaszczur o wiele słabszy i mniejszy od innych tego plemienia.

Jaszczura latawca czyli Pterodactylusa wymieniają zwykle w jednej kategorji z poprzednio wspomnianemi. Niepodobna go wszelako porównywać z owemi olbrzymami jaszczurów, pędzącemi życie w wodach i na lądzie. Choć i tego zwierzęcia znaleziony kręg szyi naprowadza na domysł, iż mógł dochodzić 20 stóp długości, to jest, gdy rozpostarł ramiona. Zewnętrzna jego postać przypomina nietoperza, ale ostre, odrastające po stracie zęby w szczękach, zdradzają jaszczura. Tychże cechy noszą jamy oczu obwiedzione spłaszczoną kością silną. Palce ramion uzbrojone silnemi pazurami, z palców ostatni niezwykle długi, bo przynajmniej pięć razy dłuższy od reszty. Mógł on prawdopodobnie służyć do podtrzymywania skóry ruchomej, przeistaczającej się w skrzydła. Skóra ta owijała grzbiet i brzuch jaszczura. Przyjąć jednak można za pewnik niemal, że zwierzęta rzeczone nieosobliwy miały lot. Silne ich pazury na palcach mogły prawdopodobnie służyć do zawieszania się na miejscach wyniosłych, jak to zwyczajem jest także nietoperzów.

Musimy zamknąć opowiadanie o jaszczurach, choć wiele jeszcze ciekawych szczegółów możnaby przytoczyć o tych osobliwszego rodzaju stworzeniach, musimy jednak przejść do innych stworzeń. Niezliczone bowiem są wytwory organiczne, występujące w ciągu rozwijania się ziemi, tak liczne, iż brakłoby miejsca, gdyby przyszło bodaj ważniejsze wyliczyć i cośkolwiek opowiedzieć z nich.

Wspominaliśmy już, że w epokach, których dzieje nas tu zajmują, żyły potwory morskie w miejscowościach dziś lądu stałego, a niegdyś zalanego morzem. W ogóle zresztą, mierząc czas miarką geologa, to cała powierzchnia dzisiejszych lądów i mórz okaże się bardzo, ale to bardzo młodzieńczą.

Za czasów żywota potworów zwanych jaszczurami, nie było jeszcze ani śladu lądów stałych według podziału dzisiejszego. Jak wielkie, groźne, poważne , na pozór zda się zdolne oprzeć się wiekom, są massy skał takich, jak góry azjatyckie, amerykańskie i europejskie, weźmy np. góry Himalaje, Kordyliery lub Alpy, a jednak olbrzymów tych nie było jeszcze podówczas na ziemi. Grubo się myli mniemanie powszechne, choć powszechne, gdy najpotężniejsze i najwyższe góry kuli ziemskiej poczytuje z powodu ich ogromu właśnie za najstarsze albo w ogóle za bardzo stare. Geologja poucza, nie mylące się bynajmniej, że wiek tych górzystości bardzo raczej młodzieńczy, przypada bowiem na najświeższy okres rozwoju ziemi. W czasach rozwoju gromady Jurasowej nie było jeszcze ani pylinki Alp europejskich; nie było także śladu rzek środkowej Europy, jak Renu, Mozeli, Łaby, Odry, Dunaju itp. Natomiast ląd stały dzisiejszej Anglji tworzył deltę jakiejś olbrzymiej rzeki, której źródła i dobieg pokryte tajemnicą, niezbadane. Rzeki tej pozostały tylko ślady w pokładach, napływowych osadach wody słodkiej, i to w wielu miejscowościach Anglji.

(D. n.)

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

X.

Otwarta wojna z okolicznymi mieszkańcami.

Tuż za nami zdążali moi żołnierze, biegnąc jak psy w ogromnych susach; tak dopadliśmy zagrody, z której dolatywały nas już strzały dzikich. Jednym rzutem oka objąwszy pozycję, postanowiłem wziąć szturmem tę małą fortecę, nie wedle prawideł strategji zbudowaną, a zatem niekoniecznie prawidłowo wziąć się dającą; w tym więc celu jednej kompanji rozsypanej w tyralierkę, kazałem otoczyć obejście i utrzymywać bezustanny ogień karabinowy przez szpary w ogrodzeniu; regiment zaś egipski ustawiłem na boku w rezerwie. Wypuszczane strzały nieprzyjacielskie, coraz gęściej padały, a niepewne jeszcze światło poranne nie pozwalało dojrzeć ich w pędzie; to też jeden żołnierz został raniony, drugiego odzież była przeszyta, a jedna strzała utkwiła nawet w siodle p. Higgimbothana.

Moi żołnierze rozpoczęli niebawem ogień; Egipcjanie stali wyciągnięci w jednej linji o pięćdziesiąt kroków od zagrody, której parkan zakreślał koło. Pozycja nasza była trochę niewygodną, gdyż kule żołnierzy strzelających w środek zagrody, przebijając się przez szczeliny, świstały nam co chwila koło uszów. Wstrzymawszy ogień, kazałem wziąć szturmem wejście do zagrody; było to przejście wąskie w łuk wygięte, cztery stopy i sześć cali wysokie, zbudowane z twardego i grubego drzewa; drzwi były przy-

twierdzone, poprzecznemi belkami i zabezpieczone cierniem powpychanym we wszystkie szczeliny. Pułkownik Abd-el-Kader z jedną częścią żołnierzy zabrał się do zburzenia drzwi, dzielnie popierany odwagą i umiejętnością Juliana Bakier i Higginbothama. Reszta jego żołnierzy przyparta tuż do parkanu, gęstym ogniem osłaniała wykonywający się atak.

Jednocześnie olbrzymi bęben szejka, grzmiał ze środka zagrody, zwołując wszystkich do obrony; sygnał ten podawany ze wsi do wsi, rozbiegał się w różnych kierunkach, lecąc coraz dalej z szybkością błyskawicy. Na ten groźny alarm z różnych stron, co raz częściej ukazywały się cwałem pędzące tłumy nagich postaci, usiłujących otoczyć nas dokoła. Nie chcąc znaleźć się w pozycji oblegającego i oblężonego, przedsięwziąłem silny ogień do grup nas otaczających, forsując dalej szturm do zagrody. Strzały dzikich coraz rzadziej ze środka padały, podczas gdy moi żołnierze z wrastającym zapałem posyłali im kulę za kulą z broni odtylcowej. Oblężonym zaczynało być widocznie za gorąco, gdyż otwierając nagle potajemny wychód w parkanie, wypadli wszyscy, przemykając się pomiędzy rozstawionych w tyralierkę pod parkanem żołnierzy, i wbiegli do pobliskiego lasu.

Prawie w tym samym czasie, drzwi wchodowe ustąpiły pod silnym naciskiem, a my wdarłszy się do środka, znaleźliśmy bogaty łup 600 krów. Zariba była silnie oparkaniona, z nadzwyczaj grubych palów głęboko w ziemię wbitych, i tak ściśle połączonych, że strzelając z bliskiej nawet odległości, zaledwie jedna kula na dziesięć mogła przemknąć się między spojenia twardego jak żelazo drzewa. Jedynym sposobem szturmowania takich obronnych wsi, jest podejście tuż pod parkan; wtenczas grube pale zasłaniają strzelającego, który bezpiecznie mierzyć może, przytknąwszy lufę do szpary.

Dzicy rozpierzchnięci w różnych kierunkach, przypatrywali nam się zdaleka; teraz byliśmy w doskonałej pozycji, i chociaż tylko w liczbie siedmdziesięciu, mogliśmy się trzymać na tem stanowisku aż do połączenia z oddziałem Tayiba Aghi. Rozstawiłem jeszcze kilku strzelców na stanowiskach bezpiecznych, żeby nieustannym ogniem trzymali nieprzyjaciela w przyzwoitem oddaleniu. Tymczasem słońce już zeszło, mgła powstająca z mokrego gruntu i kapiących deszczem drzew, zaczęła się unosić, a naszego oddziału wraz z armatą nie było jeszcze widać. Kazałem podpalić kilka chałup, zbudowanych z chrustu i trawy, w nadziei, że wznoszące się kłęby dymu zwrócą uwagę Tayiba Aghi, który bez wątpienia musiał zmylić drogę. Jednocześnie trębacze dostawszy się na wierzchołki drzew, trąbili bezustannie przez półgodziny.

Byliśmy bardzo głodni; ranne powietrze i ruch zaostrzyły nam apetyt; trzeba więc było pomyśleć o zaspokojeniu głośnych domagań żołądka. Zaraz też najtłuściejsze cielę padło ofiarą, i mój dobry służący Monsoor zabrał się do gotowania. Miałem z sobą małe pudełko z solą i pieprzem; cielę rozćwiertowane piekło się na wolnym ogniu, pocierane temi substancjami, poczem rożen zatknięty w ziemię pozwalał nam odrzynać soczyste kawałki pieczeni, które zagryzane sucharami wyborne stanowiły śniadanie. Siedząc tak i zajadając smaczną cielęcinę, przy pełnych garnkach przegotowanego mleka, z zajętych na naszą własność krów, rozmawialiśmy właśnie ozbłąkanym oddziele Tayiba Aghi, gdy nagle kilka strzałów w odległości jednej mili oznajmiły nam o nadciąganiu oczekiwanej pomocy. Wkrótce mogliśmy już doskonale przez lunetę rozróżnić naszych żołnierzy, i armatę ciągnioną przez dwudziestu ludzi.

Ucieszeni tym widokiem wracaliśmy właśnie z punktu obserwacyjnego, gdy przyprowadzono do mnie trzy młode dzieweczki, złapane przez naszych żołnierzy. Jedna z nich była szczególnie ładna i inteligentna, mogła mieć najwięcej lat piętnaście; wysoka, smukła, o bystrem i przenikliwem spojrzeniu, była oszpecona tylko szramami na policzkach, które stanowiły znamię jej pierwotnej niewoli; jest bowiem zwyczajem handlarzy piętnować w ten sppsób swoje ofiary. Mówiła przytem bardzo płynnie po arabsku. i zupełnie nie zdawała się swoim losem przestraszona.

Zapytałem ją, dla czego Barysi z Belinian, bez najmniejszej z naszej strony zaczepki, napadli na nas zabierając bydło z naszej stacji w Gondokoro. — „To z namowy szejka Allorrona“ odrzekła; „on Belinian wciągnął w przymierze i kazał im zabrać wasze bydło, ale je macie między naszem stadem, któreście zagrabili.“

Powiedziałem jej, że ponieważ nigdy nie zabieram niewolników, więc ona i jej towarzyszki mogą wrócić do swoich, i niech im oznajmią, żem tu przyszedł w ślad za mojem bydłem, które mi z Gondokoro zabrali. Jeżeli jednak życzą sobie żyć w zgodzie ze mną, bardzo chętnie zawrę z nimi przymierze, przestrzegając jednak równocześnie, iż w razie powtórnego napadu na moją stację, nie będę ich ochraniał, lecz wyprę z mojego sąsiedztwa. Dziewczęta wysłuchawszy mojej przemowy, z głośnym śmiechem wyskakując jak kozy, opuściły nas, nie okazawszy przez cały czas najmniejszej trwogi, ani objawu nieśmiałości.

W końcu nadciągnął Tayib Agha ze swymi ludźmi. Wszyscy niesłychanie byli głodni, i zagniewani na przewodnika Morgiana, posądzając go, że ich umyślnie źle prowadził. Nie było to jednakże prawdą; człowiek ten chcąc wynaleźć lepszą drogę dla przeprowadzenia działa, zabłądził w ciemności; ale złe było już naprawione, nie pozostawało zatem nic jak myśleć o sutem śniadaniu dla zgłodniałych ludzi.

Strzały ze sztucerów oczyściły sąsiedztwo nasze z nieprzyjaciół, a po złączeniu się mojem z oddziałem Tayiba Aghi, Belinianie nie mogli więcej marzyć o wyparciu nas z zajętej pozycji; całą też ich przyjemnością był widok z wierzchołków drzew, zkąd podobni do kruków, przypatrywali się wesołej biesiadzie naszych żołnierzy, zajadających pieczeń z wołów, które przed chwilą jeszcze były ich własnością.

Po śniadaniu, zostawiwszy jedną kampanję dla obrony zajętej zagrody, z resztą postanowiłem zrobić wycieczkę, żeby odpierając z pobliża Belinian, umożebnić przepędzenie stada bydła do Gondokoro. Trzy kompanje w szyku bojowym, z flankierami na przedzie wyruszyły z zagrody, z armatą toczącą się w pośrodku. Na lewo ciągnęła się rzeka, teraz prawie sucha, i zasiana wysepkami; las zdaleka porozrzucany skończył się niebawem, roztwierając przed nami szeroką dolinę, okoloną po prawej stronie górami. Cała ta przestrzeń, ciągnąca się na dwie mile, zieleniała zbożem, i łanami dury wysokiej na dwie stopy, z pomiędzy której wychylały się wsie gęsto zabudowane. Za naszem zbliżeniem się mieszkańcy stawali w znacznej odległości, zbierając się z obu stron postępującej kolumny, i przypatrując się naszym poruszeniom. Strzał armatni wysłany w środek zebranego tłumu, rozpękując się wyśmienicie, ostrzegł ich o niebezpieczeństwie gapienia się na nas; to też mieszkańcy nie czekając dłużej, po tem jednem przemówieniu rozpierzchli się, uciekając w góry. Oczyściwszy tym sposobem okolicę z naszych nieprzyjaciół, powróciliśmy do zdobytej zagrody, aby poczynić przygotowania do dalszego pochodu. Gdyśmy bramę otworzyli, wypuszczone bydło wypadło z oznakami dzikiego przestrachu, co i nas przestraszyło, albowiem mogłoby się zdarzyć, że spłoszone rozbiegłoby się po okolicy. Trzeba było zatem powierzyć je pieczy naszych przewodników, Scheruma i Morgiana, którzy świstaniem i przemówieniami używanemi w tych stronach, zdołali do tego stopnia uspokoić stado, iż z dwóch stron zabezpieczone przez linje z wojska, mogło już bezpiecznie być pognane. Przodem ciągnęła awangarda; tył był zabezpieczony oddziałem z kilkudziesięciu ludzi, i ciągnioną armatą. W tym porządku wróciliśmy szczęśliwie do Gondokoro.

Belinianie sądząc widocznie, że noc przepędzimy w naszej zdobytej pozycji, nie przeszkadzali nam w pochodzie.

Stanąwszy na miejscu dowiedziałem się, że Barysi, uwiadomieni o naszej wyprawie, uderzyli w bębny, zabierając się do napadu na obóz, o którym sądzili, że został opuszczony przez wojsko; przekonawszy się atoli o silnej załodze nie odważyli się na dalsze kroki.

Tego samego dnia przybyło kilka okrętów firmy Agad et Co; na jednym z nich znajdował się Abou Saood, który na drugi dzień przyszedł mi się przedstawić. Przywiózł on z Khartum wiadomość o śmierci Agada, głównego dzierżawcy monopolu kości słoniowej; reprezentacja więc firmy przeszła na niego, jako pasierba, i jedynego spadkobiercę. Wyznaczyłem mu na rozłożenie obozu zachodnią stronę rzeki, nie chcąc by ludzie jego zostawali w ciągłej styczności z moimi żołnierzami. Jednocześnie z jego przybyciem przypędzono lądem stado składające się z 1.400 sztuk bydła, owoc napadów i rabunku na plemiona przyjazne naszemu rządowi. Takie więc było poszanowanie rozkazów wice-króla, przez tego, któremu gubernator Khartum wydzierżawił prowincje Białego Nilu nienależące jeszcze do rządu egipskiego.

W czasie mej podróży przez Bahr Giraffe, zostawiłem w okolicy Shir, majora Achmet Rafika z jednym kapralem, i pięcioma żołnierzami, zaprowadzając na żądanie Niambora, szejka plemienia Schir stację rządową. Człowiek ten, najsilniejszy i najwyższy, jakiego zdarzyło mi się widzieć w Afryce, był bardzo przyjaźnie usposobiony dla nas, a że obiecał uprawiać zboże dla rządu, dałem mu zatem nieco dury, pozostawiając przy nim jako reprezentantów władzy rządowej mego oficera i ludzi. Teraz wykryłem, że Abou Saood napadając mieszkańców okolicy zostającej pod władzą szejka Niambor, zagrabił i uprowadził im bydło. Czyn ten mógł łatwo wzbudzić podejrzenie w krajowcach, że mój oficer i ludzie byli tylko szpiegami, którzy naprowadzili kompanję Abou Saooda na ich bydło. Jest zatem wielkie prawdopodobieństwo, że ztąd wynikną nieporozumienia między reprezentacją rządu, a sąsiednimi szejkami.

Obserwując przez lunetę zakładający się obóz Abou Saooda, dostrzegłem tłumy Barysów z Gondokoro, przybywających z wielkiemi ozna-

kami radości, jakby do starych przyjaciół. Widok licznego stada wiele musiał się przyczynić do tych oznak przyjacielskich, bydło bowiem jest bez zaprzeczenia, najlepszą kartą wstępu u dzikich środkowej Afryki; to też złodziejskie to plemię, było uszczęśliwione, ujrzawszy tych, co zawsze prowadzili ich na wyprawy, z których powracali z pięknym łupem niewolników i bydła. Nie mogłem dłużej dozwolić na to bezczelne roztaczanie przed mojemi oczami jawnych dowodów gwałcenia nowych reform, i puściwszy się łodzią z pułkownikiem Abdel-Kaderem i porucznikiem Baker, zwidziłem najpierw obóz, a potem kazałem zająć bydło. Powróciwszy do mojej stacji, wysłałem zaraz list urzędowy do Abou Saooda, w którym wyłożywszy mu jego przekroczenia, zastrzegłem sobie, by z dniem wyjścia kontraktu z rządem, okolice pod moją znajdujące się władzą, były oczyszczone z jego ludzi; równocześnie uwiadomiłem go, że bydło, które zająłem, pozostanie jako konfiskata na rzecz rządu, za jawne przekroczenie wydanych rozporządzeń. Był to krok zanadto łagodny, czego też później niejednokrotnie żałowałem, gdyż winienem był raczej okuć Abou Saooda w kajdany i odesłać do Khartum, a nie dozwolić by szeroko rozpościerał swoje intrygi po kraju. Jednocześnie kiedy Abou Saood doznawał mej niełaski, pułkownik Baouf Bey, komendant moich żołnierzy, żył z nim w najściślejszej przyjaźni, która zawiązała się jeszcze w Khartum. Skandal obozowy, pochodzący z niezgodnych zdań, między mną a dowódzcą pułków egipskich, rozniósł się prędko między żołnierzami, którzy i tak niechętnie spoglądali na nienawistny im cel wyprawy.

Do wszystkiego złego przyłączyły się jeszcze choroby, i ciągłe jątrzenie się nóg; przy oczyszczaniu bowiem kanałów, aby statki nasze przejść mogły, rodzaj szkodliwej trawy kalecząc nogi ludziom, pozostawiał tak silny jad w ranach, że ich niczem nie można było zagoić, a wielu nawet w skutek tego umarło.

W ogóle nie zbyt wesoła przedstawiała mi się perspektywa w przyszłości, gdyż zapasy zboża zaczęły się zmniejszać, o regularnym dowozie ani o żadnym zasiłku w ludziach z Khartum nie można było myśleć, skutkiem czego położenie w śród nieprzyjaznego kraju, gdzie ani kupić, ani na towary nic nie można wymienić, wydawało się prawdziwie rozpaczliwem.

(C. d. n.)

Gladjatorowie.

Cyrk pełen ludności — zaczęto igrzyska;
Na ławach najwyższych starszyzna zasiadła;
Purpura i złoto na szatach jej błyska;
Obliczem chłód dumny posągów odkradła—
A niżej plebejan tłum barwny, wpół dziki,
Uczucia swe wciela w niesforne okrzyki.

I chciwie w arenę źrenice wytęża —
A chęciom krwiożerczym gdy staje się zadość,
Gdy siła o siłę pierś cisnąc zwycięża,
Wśród tłumu szalona, zwierzęca wre radość...
A w koło powietrze tak ciężkie i parne,
A niebo Pompei tak groźne i czarne!

Wśród grona szermierzy, w pośrodku areny
Spogląda zwycięzca promienny swą chwałą,
Jak z wzgardą służalce zwlekają ze sceny
Tak dzielne przed chwilą, a martwe już ciało —
Co z wdziękiem pałając na zlanym krwią piasku
Skonało pozując przy hucznym oklasku!

Gdzieś z głębi ryk leśnych potworów dolata —
W uboczy spętane czekają ofiary...
Za chwilę żelazna odsunie się krata,
Za chwilę tu legną męczennicy wiary!
A z ciał ich woń cicha jak z kwiatu uleci,
I nocy zwątpienia jutrzenką zaświeci!

Lecz teraz przez otwór szkarłatnej zasłony,
Jak widmo w oddali Wezuwiusz olbrzymi
Opasał skroń wstęgą płomiennej korony—
I lawą wewnętrzną już huczy i dymi...
O drżyjcie! na zgrozę Pompei i światu
Bóg sam przygotował Epilog Dramatu!

* * *

Cyrk pełen ludności; igrzyska dziś nowe:
Na ławach najwyższych starszyzna zasiada,
Na oczach ma szkiełka, wejrzenie surowe;
Z powagą sędziego studjuje i bada...
A niżej plebejan tłum barwny, wpół dziki,
Uczucia swe wciela w niesforne okrzyki.

I chciwie w arenę źrenicę wytęża,
Gdzie walczą miłości i prawdy szermierze;
Gdzie siła o siłę pierś cisnąc zwycięża,
Lub pada strzaskana o wrogie puklerze!
A pada tak pięknie! w boleści i blasku
Dla tłumów zabawy, wśród tłumów oklasku!

Gdzieś z głębi ryk dzikich potworów dolata:
To nędza... to trudy... to ciosów tysiące!
Co chwila żelazna odsuwa się krata,
Co chwila rzednieją zastępy walczące!
Błagalną pieśń roniąc ustami blademi
O szczęście dla bliźnich, o pokój dla ziemi!

A pieśń ta im bardziej niemocą przybita,
A twarz ich cierpienie im dziwniej wykrzywia,
Tem większy głód czuje ta tłuszcza niesyta —
Tem silniej im klaszcze, goręcej podziwia!
Tem głębiej w nich tonie sercem i oczyma,
Lecz czucia w tem sercu, łzy w oczach tych nie ma.

O! dziwnież, że w świecie umarłej nadziei
Trucizna powietrza śmierć niesie dla duchów —
Że jako w dniu onym zniszczenia Pompei
Czujemy już drżenie podziemnych wybuchów,
Co każą miłością odrodzić się światu
Wskazując mu w gruzach Epilog Dramatu!

Maj 1875.

Marja B.

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

Tom II.

Rozdział I.

Jako bankier, p. Alfred był mniej szczęśliwym i stos banknotów leżący przed nim na stole zmniejszał się z większą szybkością niż rósł przedtem. Na szczęście dla finansów rozmiłowanego w sztuce dramatycznej kancelisty, p. Mizerkowa nie należała już do spółki z p. Zgorzelskim, ale „przystawiała się“ z hr. Józiem, który wygrywał. P. Alfred znosił wszelako przeciwieństwa losu jak przystało tak dystyngowanemu kawalerowi, a kiedy ostatnie bilety bankowe z jego posiadania przeszły w ręce ponterów, nie oddał banku nikomu, ale wyjął z pugilaresu kilka świeżych setek i położył je przed sobą. Pani Mizerkowa skorzystała z tej chwilowej przerwy, by pocieszyć naszego bohatera znaną sentencją, przytoczoną jeszcze przez ks. biskupa Krasickiego w „Przygodach Mikołaja Doświadczyńskiego,“ a obiecującą słodkie nagrody ze strony Kupidyna i jego przecudnej matki temu, komu w grze nie sprzyja bożek sprośnej mamony. P. Pepi twierdził, że przysłowie to jest równie nieprawdziwem jak wiele innych jemu podobnych, i udowadniał swoim własnym przykładem, że można nie mieć szczęścia ani w grze ani w miłości. P. Mizerkowa odpowiedziała na to powątpiewającem: kto wie?! i nalała p. Alfredowi kieliszek szampana ze spojrzeniem, w którem człowiek zarozumiały mógłby był wyczytać, że przysłowie nie myli się tak bardzo. W tej chwili, jakkolwiek było już blisko drugiej popółnocy, dały się słyszeć kroki w jednym z przyległych pokojów. Mówię umyślnie: „w jednym z przyległych,“ ażeby dać do zrozumienia, że pomieszkanie państwa Mizerków, jakkolwiek skromne, nie było zbyt ciasnem. Oprócz aksamitu, koronek, sobolów i t. p. drobiazgów, przyzwoity apartament, czyli mówiąc słowami p. Mizerkowej, „porządna stancja,“ należała do tych rzeczy, których brak ubliżałby w najwyższym stopniu jej godności kobiecej. W jednym z przyległych pokojów tej „porządnej stancji“ tedy, dały się słyszeć kroki, a p. Mizerkowa rzuciwszy wzrok w tę stronę, zawołała:

— Niunio i Siunio idą!

I w istocie, weszli Niunio i Siunio. Ktokolwiek, złudzony późną porą pojawienia się Niunia i Siunia, i ich zdrobniałemi imionami, przypuszcza, że byli to synkowie lub siostrzeńcy p. Mizerkowej, ten jest w błędzie. Niunio i Siunio nie byli wcale malcami, ani domownikami p. Mizerkowej. Byli to owszem dwaj kawalerowie nader słusznego wzrostu, na nader długich, cienkich, i na oko, załamujących się pod nimi nogach, i o klatkach piersiowych tak wyłącznie na długość tylko rozwiniętych, że wziąwszy jednego i drugiego z nich jako całość, i postawiwszy Niunia o kilkanaście kroków od Siunia, oko mimowoli szukało by było u szczytu każdego z nich białej filiżanki porcelanowej, i owiniętego na około niej druta telegraficznego, łączącego te dwa indywidua, nader podobne do słupów, używanych w tym celu w krajach bezleśnych, a tem samem, oszczędzających drzewo. Tymczasem, zamiast filiżanki, Niunio i Siuniu kończyli się u góry chudemi i przeciągłemi twarzami, i starannie przyczesanemi czuprynkami, a mianowicie, Niunio czarną, a Siunio jaśniejszą. Wielkie to podobieństwo zewnętrzne sprawiało zapewne, że obydwaj zdawali się być równego wieku, podczas gdy w rzeczy samej Niunio o całą ćwierć stulecia starszym był od Siunia. Co jednemu ujmowało lat, a drugiemu ich dodawało, tego w XIX stuleciu czytelnik domyśli się zapewne sam, bez pomocy autora. Nadmienię jeszcze tylko, że Niunio i Siunio byli wielkimi wielbicielami płci pięknej, i że tu kończyło się wszelkie podobieństwo między nimi. Siunio był bowiem erudytem, wyrażał się w frazesach zaokrąglonych starannie, i nie pozbawionych pretensji do pewnego *esprit*, branego z drugiej ręki. Niunio przeciwnie, albo nie wyrażał się wcale, albo jeżeli się odezwał, wywoływał wybuchy śmiechu, nie dobrowolnie, jak p. Pepi, ale mimowolnie. Żartownisie miejscowi utrzymywali całe rejestra takich rozweselających powiedzeń Niunia, jego poglądów naukowych, politycznych i estetycznych, i w ogóle, pamięci godny jego słów i czynów. Mimo to Niunio, równie jak Siunio, był srogim łupieżcą i mordercą serc niewieścich, brał je w jasyr, jak Tatar, i trzymał je w niewoli całemi tuzinami — w złotej klatce, jak dodawał p. Pepi.

Pojawienie się dwóch tak znakomitych znaw-

ców piękności mimo spóźnionej pory nie sprawiło najmniejszej sensacji w „porządnej stancji“ p. Mizerkowej. Siunio powiedział jej parę gładko utoczonych komplimentów, z pomiędzy których najlepiej przyjętemi były te, które odnosiły się do jej stroju. Niunio z początku nie powiedział nic, a następnie zdał sprawę z projektu fortyfikacji Paryża, o którym słyszał od hr. Witolskiego, i który polegał na przeniesieniu Pirenejów nad Sekwanę i posadzeniu ich, w równych odstępach, na około stolicy francuskiej. P. Pepi nie omieszkał potwierdzić prawdziwość tego doniesienia, i dodał, że zamierza na najbliższem posiedzeniu towarzystwa agronomicznego wnieść, by w ten sam sposób przeniesiono Karpaty nad morze Baltyckie, ażeby nie było tak zimno w całej Polsce. Hr. Kropiowski, który z natury był mniej przenikliwym, domyślił się wszelako, że Pepi bierze Niunia na fundusz, i zapytał tego ostatniego z nienacka, co sądzi o projekcie zaprowadzenia przymusu szkolnego? Niunio nie znał tej kwestji i był w ambarasie, bał się bowiem skompromitować przed p. Mizerkową, oświadczył tedy *àtout hasard*, że w tej mierze jest republikaninem, i sprzeciwia się wszelkiemu przymusowi. P. Pepi odkrył natychmiast wielkie podobieństwo między politycznem wyznaniem wiary Niunia a znakomitą mową, którą wygłosił był publicznie temi czasy głęboki myśliciel Korneliusz, (nie Nepos, ale Kozołupski, z Wołowiec). Hr. Kropiowski miał skłonność do politykowania i począł rozwodzić się szeroko, jak dalece filozof wołowiecki miał słuszność, tak co do argumentów, które wygłaszał, jak i co do ukrytego celu, do którego zmierzał. P. Alfred stanął na gruncie szlacheckim, gospodarskim, i ze swojej strony kilkoma trafnemi uwagami poparł zdanie, że nie ma nic przewrotniejszego i zgubniejszego, jak uczyc chłopa czytać i pisać. Erudyt Siunio, biorąc z tąd asumpt, zaczął długi *speech* na ten temat, że nauka byłaby dobrą, gdyby niestety nie służyła za broń ludziom „dążącym do materjalizmu, do pozytywizmu i do darwinizmu,“ dzięki czemu, zaciera się w społeczeństwie coraz bardziej wiara w ideały i cześć dla nich. Usłyszawszy wzmiankę o ideałach, pani Mizerkowa zaczęła słuchać pilnie dalszych wywodów Siunia, ale, jak powiedziałem, wykształcenie jej było poniekąd jednostronne, a Siunio trafiał w przemówieniu swojem właśnie na takie „strony,“ po których wykształcenie to nie poruszało się nigdy, w skutek czego gospodyni domu znudzona, zapytała niecierpliwie, kiedy panowie przestaną już raz mówić „poli-tykach“ i o „matema-tykach,“ a zaczną o czemś zabawniejszem? P. Pepi dał brawo i zaproponował rozmowę o innych jakich „tykach,“ ponalewano szampana i jeszcze tylko p. Alfred, poruszony przemową Siunia, wniósł toast na cześć „ideałów,“ przyjęty z zapałem i wypity z przyjemnością, bo *Veuve Cliquot* był dobrze frapowany — poczem gracze przystąpili napowrót do swojej przerwanej czynności, a Niunio i Siunio, do bawienia p. Mizerkowej. Niunio i Siunio nie grywali, i nikt ich nigdy nie ciągnął do kart, zważywszy, iż wygrana od nich miałaby wartość czysto teoretyczną i sprawiać by mogła w najlepszym razie satysfakcję jedynie moralną, a to z powodu, iż Niunio już nie miał majątku ani kredytu, a Siunio jeszcze nie posiadał tych pożądanych rzeczy, tak materjalnych i pozytywnych w swojej istocie, a jednak w ręku idealisty stanowiących nieraz tak dzielne antidota przeciw materjalizmowi i pozytywizmowi!

Będzie to mniej zajmującem dla czytelnika dowiedzieć się, ile banków i ile butelek szampana pękło jeszcze, nim się skończyła wizyta u pp. Mizerków. Dość będzie nadmienić, że p. Alfred postarał się o wielki zapas wina i lodu, i że, ponieważ nie grano zbyt wysoko, reszta sumy zmienianej rano w cukierni wystarczyła mu mimo dość grubych strat do utrzymywania całej kompanji w jak najlepszym humorze. Bardziej ciekawem byłoby, gdybym umiał opowiedzieć, jakim sposobem Niunio i Siunio potrafili bawić p. Mizerkowę, póki się gra nie skończyła, co trwało bardzo długo jak się zaraz dowiemy. Mimo najszczerszych chęci atoli nie potrafiłbym zdać z tego sprawy, i w istocie wyznać muszę, że ze względu na wzmiankowaną już jednostronność wykształcenia tej damy, nie mam najmniejszego wyobrażenia, o czem tak długo rozmawiano. Wiem tylko, że od czasu do czasu który z grających mięszał się do rozmowy, i że słychać było, zwłaszcza ile razy odezwał się p. Pepi, głośne wybuchy śmiechu. Powodem tej wesołości bywały dwuznaczniki, prawdziwe lub urojone, jakich znajdzie pełno w „Wielkiem Bractwie“ i w innych „salonowych“ komedjach, zdobiących naszą literaturę dramatyczną temi czasy. Do tych źródeł dobrego tonu i prawdziwego, rodzimego humoru polskiego, wykluczającego „obce żywioły“, zmuszony jestem odesłać każdego pragnącego informacji co do sposobu bawienia się w towarzystwie dystyngowanem. Dla naszej powieści, godnem uwagi było tylko to, że poruszono na nowo sprawę młodej osoby, o której twierdzili poprzednio hr. Józio i p. Pepi, że jak jedna kropla wody do drugiej podobną jest do p. Zameckiej.

— Niunio, którego bacznemu oku nie ujdzie żadna piękność, musi znać tę grację! — zauważał hr. Józio.

— Są trzy gracje, — dodał p. Pepi — widuję ją bowiem zawsze w towarzystwie dwóch innych młodych dziewcząt.

— Znam wszystkie trzy doskonale — oświadczył kategorycznie Niunio.—Jedna blondynka, a dwie brunetki.

— Dwie blondynki, a jedna brunetka, — rzekł p. Pepi — nie znasz ich widocznie.

— Otóż znam: jedna brunetka, jedna szatynka, a jedna blondynka, jeżeli chcecie wiedzieć wszystko dokładnie. Chodzą zawsze razem, i mieszkają przy ulicy Zamkowej.

— Przy Kowalskiej, a nie przy Zamkowej— twierdził p. Pepi. — Nie ma domu przy ulicy Zamkowej, któregobym nie znał.

— A ja wam powiadam, że przy Zamkowej, — obstawał Niunio. — Powtarzam że znam wszystkie trzy doskonale, i każdą z osobna, i jeżeli chcecie, przekonam was, że znam je z bliska. Jedna nazywa się Mińcia, druga Adelcia, a trzecia Brońcia. Byłem tam wczoraj.

— Co za gruntowność u tego Niunia! — zauważył hr. Józio.

— I co za ciekawość! — zawołała pani Mizerkowa.

— Mnie się zdaje, że Józio jest także bardzo ciekawym i bardzo gruntownym pod względem płci pięknej. Pani Mizerkowa potwierdzi z pewnością moje zdanie, — rzekł Siunio.

— Zgub się pan, — odparła p. Mizerkowa figlarnie, — co panu do tego?

— No, dosyć będzie na dzisiaj — odezwał się hr. Kropiowski, odsuwając karty i patrząc na zegarek. — Wiecie państwo, która godzina? Pół do piątej!

— Ach, a mego męża jeszcze nie ma w domu! — zawołała pani Mizerkowa.

— Musiał gdzieś trafić na *mizerkę*, bo podobnoś lubi preferansa — rzekł p. Pepi.

— Chachacha! — zawtórowali wszyscy.

— Ale co ja teraz pocznę sama! Ja się tak boję! Kiedyś *tutaj*, spóźnił się także, to myślałam że mię *szlag trafi*, *tagiem* się bała.

— Wszak my panią nie opuścimy — odezwał się Sieniu, pełen galanterji.

— I zrobimy jeszcze jedną turę, nieprawdaż? — zaproponował hr. Józio.

— Ja muszę już iść, — rzekł hr. Kropiowski. Wiecie, że nie lubię siedzieć do późna, i że mi to szkodzi. To też, mimo uprzejmych próśb gospodyni, zacny ten reprezentant jednego z wielkich rodów prowincji pożegnał się i odszedł.

— Dajcie mu panowie pokój, — powiedziała p. Mizerkowa po jego odejściu. I tak już *został siedzieć* bardzo długo, i dostanie burę od Smolnickiej. Mówią *co* ona go bardzo *kunieruje*.

— P. Mizerka jest szczęśliwszym, — rzekł p. Pepi. — Pani zapewne nie *kunierujesz* go nigdy?

— Kobieta z wychowaniem — odparła p. Mizerkowa, — krygując się na prawo i na lewo, nie może być tak *ordynarną*, jak Smolnicka.

— No cóż, gramy dalej? — zapytał hrabia Józio.

— Najchętniej, — odpowiedział p. Alfred.

— Jestem trochę zmęczonym — odpowiedział p. Pepi, który był już przegrał bardzo wiele, bo hr. Kropiowski, jak się pokazało ostatecznie, uniósł był z placu boju niejedną trofeę, dzięki której mógł ze spokojniejszym umysłem wysłuchać ewentualnych wymówek i wyrzutów, o których wspominała p. Mizerkowa.

— To grajmy odstępnego w *écarté*, a będziemy mogli odpoczywać z kolei — była propozycja hr. Józia, na którą zgodzono się powszechnie.

Słońce oddawna zaglądało już przez firanki a p. Mizerka nie pojawiał się jeszcze. Z kolei, każdy z trzech graczów pomagał Niuniowi i Siuniowi bawić panią Matyldę, a pomoc ta była tem potrzebniejszą, gdy Niunio, zwiesiwszy brzemienną myślami głowę na piersi, usnął był snem głębszym od jego poglądów na fortyfikacje Paryża, podczas gdy Siunio, wyczerpawszy zasoby swojej wymowy, skapitulował i przypatrywał się graczom. Szampan jeden tylko był niewyczerpanym i coraz skuteczniejszym w swojem działaniu, i nie śpiąca część towarzystwa była coraz bardziej ożywioną. P. Mizerkowa wynurzyła żal, że nie umie grać w *écarté*, p. Alfred, który był wolnym w tej chwili, podjął się wyłożyć jej elementa tej sztuki, i natychmiast urządzono drugą partję przy drugim stoliku. Dzięki temu *têteá-è-tte*, p. Alfred dowiedział się, że p. Mizerkowa czuje się osamotnioną i nieszczęśliwą, że serce jej czuje wszystkie dolegliwości, pochodzące z posiadania nieziszczonych ideałów, że hr. Józio jest bardzo dobrym, bo wyszukał dla pp. Mizerków „stancję“ i w ogóle wyświadcza wiele grzeczności p. Mizerce, że szanowny ten kancelista ma bardzo małe dochody, nie wystarczające mu do przyzwoitego utrzymania żony, która pochodząc z familji, jak się pokazało, nader znakomitej, przyzwyczajoną jest do innego zupełnie życia, i że — nakoniec, kto nie grał nigdy w *écarté* a dostanie dobrego nauczyciela, może zaraz po pierwszej lekcji ulżyć pugilares mistrza o setkę i o kilka dziesiątek, tyle bowiem wygrała p. Mizerkowa od p. Alfreda, chociaż nie bez umyślnego przyczynienia się z jego strony, za które nagradzało go każdym razem niebjańskie spojrzenie, a czasem, przyja-

cielskie uściśnienie ręki. Ostatecznie atoli, na pobliskiej wieży wybiła ósma godzina, i najwaleczniejsi z całego towarzystwa zmuszonymi byli oświadczyć, że czują znużenie, któremu oprzeć się nie mogą. Zbudzono Niunia, pożegnano się z gospodynią domu, i wkrótce Niunio, Siunio, Pepi i p. Alfred znaleźli się na ulicy; hr. Józio gdzieś się zawieruszył, ale nikt nie był niespokojnym o niego.

Słońce czerwcowe oświecało i rozweselało świat boży, uroczystym, niedzielnym swoim blaskiem. Czy uważaliście państwo, że słońce inaczej piękniej jakoś świeci w dzień świąteczny, niż w powszedni? Nie? To dobrze, ale ja to uważałem. Uważałem także, że w niedzielę od rana już ulice przedstawiają widok odmienny od zwykłego. Nawet sługi, jak codzień spieszące do miasta lub z miasta z koszykami, wyglądają inaczej. Pochodzi to może ztąd, że są starannie umyte i uczesane, niemniej przeto to, co twierdzę, jest prawdą. Wszystko, niebo, ziemia, słońce powietrze, ptaki i ludzie, inaczej wyglądają w niedzielę. I nasi czterej panowie wyglądali inaczej, niż wczoraj. Krok ich był mniej pewnym, a rozmowa głośniejszą, i kapelusze fantastycznie osadzone na głowach. Niunio i Siunio mieli minę dwóch Don-Kiszotów, pobitych w walce z olbrzymami, i szukających felczera. P. Pepi przedstawiał widok człowieka, który pochylał się naprzód, szukając na chodniku kwadratury koła, i nie znalazłszy jej tam, przekrzywiał głowę na prawo i na lewo, w nadziei, że znajdzie na szyldach to czego szuka. Najlepiej jeszcze trzymał się p. Alfred, ale tylko względnie, bezwzględnie rzecz biorąc, i on nie trzymał się dobrze. Nagle podnosząc oczy od chodnika ku dachom, p. Pepi zawołał:

— *Ma foi*, oto jest nasza piękność!

Wszyscy spojrzeli w stronę, w którą spoglądał p. Pepi, i ujrzeli trzy panny w słomkowych kapelusikach, w świeżutkich choć skromnych sukienkach, z książkami do nabożeństwa w rękach widocznie wracające z kościoła.

— Jaka piękność? — zapytał Niunio.

— Ta, o której mówiłeś, że ją znasz, i że jest podobną do p. Zameckiej. Wszak to ona?

— Nie, to nie ta.

— Otóż ja ci mówię, że ta! Chodźmy prędzej, a przekonamy się zaraz.

P. Pepi wziął Alfreda pod rękę, a Niunio i Siunio zdążali za nimi. Wkrótce udało im się prześcignąć panienki, a mijając je, p. Pepi schylił się i zaglądnął ciekawie jednej z nich pod parasolkę. Dziewczęta zmięszały się, a Siunio i Niunio powtórzyli manewr p. Pepiego i pospieszyli za swoimi towarzyszami.

— A co, prawda, że śliczny buziaczek? — zagadnął p. Pepi.

— Przypatrzmy jej się lepiej, stańmy! — rzekł p. Alfred.

Panny zarumieniły się wszystkie trzy mocno i ze spuszczonemi oczami minęły szybko naszych znajomych, którzy ścigali je rotowym ogniem niezbyt wyszukanych uwag.

— Że też żaden z was nie ma odwagi — zawołał p. Pepi. — Ja, gdy byłem tak młody, nie byłbym się wahał zacząć rozmowy z dziewczyną, która mi się podobała.

— O, wielkie rzeczy! — zawołał p. Alfred.— I my to potrafimy! — To mówiąc, przyspieszył kroku, podczas gdy Siunio spostrzegłszy nieprzyzwoitość sceny, która zwracała uwagę przechodniów, zatrzymał Pepiego i Niunia, przedstawiając im, że nie wypada im kompromitować się w ten sposób. Szli więc powoli za p. Alfredem, który wkrótce dopędził na nowo dziewczęta, i przystąpił do jednej z nich, idącej od strony ulicy.

— Czy pani pozwoli towarzyszyć sobie? — odezwał się Faust nowomodny, do nowoczesnej Małgorzaty.

Para prześlicznie oprawionych czarnych oczu w odpowiedzi, z przestrachem i zgrozą wypatrzyła się na niego, a właścicielka ich cofnęła się na bok, ściskając ramię swojej towarzyszki.

— Chodźmy, Franiu, na miłość Boga, chodźmy! — zawołała z obawą, i wszystkie trzy poczęły biedz co miały siły.

(C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego. J. Pł...

Rozdział XIV.

(Ciąg dalszy).

(Wymiar ściany granitowej. — Zastosowanie prawidła o podobieństwie trójkątów. — Stopień szerokości wyspy. — Wycieczka na północ. — Ława ostryg. — Projekta na przyszłość. — Przejście słońca przez południk. — Obie „równo-rzędne“ wyspy Lincolna).

Nazajutrz dnia 16. kwietnia — w wielkanocną niedzielę — osadnicy nasi równo ze wschodem słońca wyszedłszy z „dymników,“ zabrali się do wyprania swej bielizny i oczyszczenia sukień. Inżynier spodziewał się, że uzyskawszy wprzód niezbędne składniki: sodę lub potas, tłuszcz lub olej, potrafi sfabrykować mydło. Również nad kwestją tak ważną, jak odmienienie garderoby miano się zastanowić we właściwym czasie i miejscu. Na wszelki wypadek suknie, które mieli na sobie, mogły wystarczyć jeszcze na sześć miesięcy, były bowiem trwałe i mogły wytrzymać ciężką robotę ręczną. Wszystko jednak zależało od położenia wyspy w stosunku do lądów zamieszkałych. A ważne to pytanie mieli rozstrzygnąć jeszcze tego samego dnia, jeśliby czas na to pozwolił.

Słońce wschodzące na widnokręgu zapowiadało dzień cudowny, jeden z tych pięknych dni jesiennych, które są jakby ostatniem pożegnaniem lata.

Wypadało teraz uzupełnić szczegóły obserwacji wczorajszej, zmierzywszy wysokość „Wielkiej Terasy“ po nad powierzchnią morza.

— Nie potrzeba panu instrumentu podobnego do tego, jakiego użyłeś wczoraj? zapytał Harbert inżyniera.

— Nie trzeba mi, moje dziecko, odparł tenże, postąpimy tym razem inaczej a z równą prawie dokładnością.

Harbert, który lubił się uczyć wszystkiego, udał się za inżynierem. Ten oddalając się od podnóża granitowej ściany, zatrzymał się na samym prawie końcu wybrzeża. Podczas tego Pencroff, Nab i korespondent zajęci byli inną robotą.

Cyrus Smith zaopatrzył się w żerdź prostą, długą na jakie dwanaście stóp, i zmierzył ją ile możności jak najdokładniej, używając za miarę własnego wzrostu, który znał prawie co do linijki. Harbert niósł wahadło, które powierzył mu Cyrus; był to prosty kamyk uwiązany do giętkiego kawałka włókna.

Na jakie dwadzieścia kroków od brzegu morza a sto pięćdziesiąt od ściany granitowej wznoszącej się prostopadle, zatknął Cyrus ową żerdź na dwie stopy głęboko w piasek i po długiem i pilnem kierowaniu udało mu się wreszcie zapomocą wahadła osadzić ją prostopadle do poziomu widnokręgu.

Ukończywszy te przygotowania cofnął się tak daleko, jak potrzeba było, ażeby, położywszy się na piasku, w jedną linję ze swem okiem sprowadzić koniec żerdzi i zarazem szczyt ściany granitowej. Poczem oznaczył dokładnie to miejsce za pomocą tyczki i zwracając się do Harberta, zapytał:

— Znasz główne prawidła geometrji?

— Tak, trochę, panie Cyrus, odparł Harbert, nie chcąc się zapędzać zanadto.

— Pamiętasz więc, jakie są własności dwóch podobnych do siebie trójkątów?

— Pamiętam, odparł Harbert. Odpowiednie ich boki stoją do siebie w prostym stosunku.

— Otóż ja, moje dziecko, nakreśliłem tu dwa podobne do siebie trójkąty, oba prostokątne: bokami mniejszego są prostopadła żerdź i odległość między tyczką a podnóżem żerdzi, a podstawą jego linja pociągnięta od tyczki do górnego końca żerdzi; bokami zaś większego trójkąta są prostopadła ściana granitowa, o której wysokość nam chodzi i odległość między tyczką a podnóżem ściany granitowej, a podstawę jego także linja pociągnięta od tyczki do szczytu ściany granitowej; podstawa ta jest tylko przedłużeniem podstawy pierwszego trójkąta.

— A! teraz rozumiem; panie Cyrus! zawołał Harbert. Podobnie jak oddalenie tyczki od żerdzi stoi w prostym stosunku do oddalenia tyczki od podnóża ściany granitowej, tak samo wysokość żerdzi stoi w prostym stosunku do wysokości ściany granitowej.

— Tak jest, Harbercie, odparł inżynier, a skoro wymierzymy dwie pierwsze odległości, to, znając wysokość żerdzi, będziemy potrzebowali wykonać tylko prosty rachunek proporcji, ażeby otrzymać wysokość ściany granitowej, co nam oszczędzi trudu zwykłego mierzenia.

Obie odległości poziome zostały obliczone za pomocą tej samej żerdzi, której długość na piasku wynosiła akuratnie dziesięć stóp.

Pierwsza odległość między tyczką a punktem w którym osadzoną była żerdź, wynosiła piętnaście stóp.

Druga odległość między tyczką a podnóżem ściany granitowej wynosiła pięćset stóp.

Ukończywszy ten wymiar Cyrus z Harbertem wrócili do „dymników.“

Tu wziął Cyrus do ręki płytę kamienia łupkowego, którą przyniósł z jednej z poprzednich wycieczek, na której za pomocą zaostrzonej muszli można było kreślić cyfry i zestawił następującą proporcję:

$$15 : 500 = 10 : x$$
$$500 \times 10 = 5000$$
$$\frac{5000}{15} = 333{,}33.$$

Z tego wyniknęło, że wysokość ściany granitowej wynosiła trzysta trzydzieści trzy stóp.*)

Następnie wziął Cyrus Smith napowrót do ręki instrument sporządzony dniem przedtem, u którego rozwarcie obu deszczułek oznaczało odległość kątową gwiazdy *alfa* od widnokręgu. Obli-

---

*) Są to stopy angielskie, z których jedna wynosi 30 centymetrów. (Przyp. autora).

czył dokładnie rozwarcie tego kąta na obwodzie koła podzielonego na trzysta sześćdziesiąt równych części. Otóż okazało się, że kąt ten, dodawszy do niego dwadzieścia siedm stopni, oddzielających gwiazdę *alfa* od bieguna południowego i sprowadziwszy wysokość terasy, na której czyniono obserwację, do poziomu morza, wynosił około pięćdziesiąt trzy stopnie. Odciągnąwszy te pięćdziesiąt trzy stopnie od dziewięćdziesięciu (oddalenie bieguna od równika) pozostawało trzydzieści siedm stopni. Z tego wniósł zatem Cyrus Smith, że wyspa Lincolna położoną była pod trzydziestym siódmym stopniem szerokości południowej, a przyjmując różnicę wynikłą z powodu niedokładności obliczenia na pięć stopni, że położoną była pomiędzy trzydziestym piątym a czterdziestym równoleżnikiem.

Pozostawało jeszcze obliczyć stopień długości, aby otrzymać obie „równorzędne" wyspy. Inżynier zamierzał to uczynić jeszcze tego samego dnia w południe, to jest w chwili, kiedy słońce przechodzić miało przez południk.

Postanowiono tę niedzielę poświęcić na przechadzkę, albo raczej na zwidzenie owej części wyspy między północnym brzegiem jeziora a zatoką Rekinów, a nawet, gdyby czas na to pozwolił, dotrzeć aż do północnego krańca przylądku Dolnej Szczęki. Miano śniadać pomiędzy wydmami i dopiero na wieczór powrócić do domu.

O godzinie wpół do dziesiątej z rana puściła się drużyna nasza brzegiem kanału. Po drugiej stronie, na wysepce Wybawienia, przechadzały się z partesem liczne gromady ptaków. Ptaki te należały do rodzaju nurków. Łatwo je poznać po niemiłym krzyku przypominającym ryk osła. Pencroff, który zapatrywał się na nie ze stanowiska czysto kuchennego, przyjął z niemałem zadowoleniem wiadomość, że mięso ich, jakkolwiek czarniawe, jest wcale smaczne.

Między innemi widać było także duże amfibje pełzające po piasku, zapewne foki, które, jak się zdawało, wysepkę tę obrały sobie za miejsce przytułku. Niepodobna było upatrywać w nich materjału na pieczyste, gdyż mięso ich pełne olejnego tłuszczu jest obrzydliwe; mimo to jednak Cyrus Smith przypatrywał się im z wielką uwagą i nie wypowiadając wyraźniej swej myśli, zapowiedział tylko towarzyszom swoim, że wkrótce przyjdzie im odwidzić wysepkę.

Brzegi, któremi szli osadnicy nasi, pokryte były nieprzeliczonem mnóstwem muszli, z których niejedne mogłyby wprawić w zachwyt miłośników malakologji. Między innemi były tam fazjanelle terebratule, trygonje i t. p. O wiele pożyteczniejsze odkrycie zrobił Nab. Wśród skał odkrytych przez odpływające właśnie morze, znalazł ogromną ławę ostryg. Miejsce to oddalone było na cztery mile od „dymników."

— Nab ma dziś szczęśliwy dzień, zawołał Pencroff, przypatrując się temu szerokiemu stosowi ostryg.

— W istocie, jest to odkrycie nader szczęśliwe, rzekł korespondent, a jeśli to prawda, co powiadają, że każda ostryga znosi rocznie pięćdziesiąt do sześćdziesiąt tysięcy jaj, to będziemy ich mieć zapas niewyczerpany.

— Zdaje mi się tylko, że ostryga nie jest bardzo pożywną, rzekł Harbert.

— W samej rzeczy, odparł Cyrus Smith. Ostryga zawiera bardzo mało pierwiastków azotowych, a ktoś, ktoby się niemi wyłącznie chciał żywić, musiałby ich zjadać najmniej piętnaście do szesnastu tuzinów dziennie

— Wybornie! odrzekł Pencroff. Moglibyśmy je zjadać tuzinami tuzinów zanimby nam wyszły. Gdybyśmy tu teraz zabrali ze sobą kilka na śniadanie?...

I nie czekając odpowiedzi, przewidując snać z góry aprobację, marynarz z Nabem oderwali pewną ilość tych mięczaków i włożyli takowe do siatki uplecionej przez Naba z włóknistego krzewu zwanego „hibiscus," a zawierającej także resztę zapasów żywności. Poczem puszczono się dalej wzdłuż wybrzeża między wydmami a morzem.

Od czasu do czasu spoglądał Cyrus Smith na zegarek, aby być gotowym na czas do obserwacji słonecznej, którą zamierzał przedsięwziąć w samo południe.

Cała ta część wyspy aż do punktu gdzie się kończyła zatoka Zjednoczonych Stanów zwanego przylądkiem Dolnej Szczęki, była suchą i jałową. Nie widać było nic, tylko piasek i muszle, a tu i ówdzie szczątki lawy. Odludne te brzegi zamieszkiwały gromady morskiego ptactwa: mewy, duże albatrosy i dzikie kaczki, które łakomstwo Pencroffa na ciężką wystawiały próbę. Próbował strzelać do nich z łuku, lecz napróżno, gdyż nie spuszczały się wcale na ziemię a w lot byłby je chybił niezawodnie.

To spowodowało marynarza do ponowienia dawniejszego swego żądania:

— Widzisz pan, panie Cyrus, rzekł, dopóki nie będziemy mieli przynajmniej jednej lub dwóch fuzyj myśliwskich, dopóty kuchnia nasza będzie zawsze cierpiała wielki niedobór.

— Bez wątpienia, Pencroff, odparł korespondent, lecz to tylko od ciebie zależy! Wystaraj się nam żelaza na armaty, stali na baterje, saletry, węgla i siarki na proch, merkurjuszu i kwasu azotowego na kapsle i ołowiu na kule, a Cyrus porobi nam strzelby najlepszego gatunku.

— O! co się tyczy owych substancyj, odparł inżynier, to nie wątpię, że znalazłyby się na wyspie. Lecz broń palna jest instrumentem nader delikatnym i wymagającym bardo dokładnych narzędzi. Wrzeszcie, zobaczymy później.

— Trzeba-ż nam było — zawołał Pencroff — trzeba-ż nam było wyrzucić wszystką broń, jaka była w łódce, i wszystkie narzędzia, nawet scyzoryki!

— Lecz gdybyśmy ich nie byli wyrzucili, odparł Harbert, balon byłby nas wyrzucił na dno morza.

— Nie ma co mówić, masz słuszność, chłopcze! rzekł marynarz.

A po chwili przeskakując na inny przedmiot, dodał:

— Lecz wystawiam sobie, jak Jonatan Forster i jego koledzy musieli zgłupieć, gdy nazajutrz rano obaczyli, że plac pusty a maszyna poszła na cztery wiatry!

— To ostatnia rzecz, o którą bym się troszczył: co oni myśleli! — rzekł korespondent.

— A jednak to był mój pomysł! — rzekł Pencroff zadowolony.

— Piękny pomysł, Pencroff — odparł Gedeon Spilett, śmiejąc się — jemu zawdzięczamy, że tu jesteśmy!

— Wolę być tu, niż w rękach południowców! — zawołał marynarz — zwłaszcza od kiedy pan Cyrus był tak łaskaw połączyć się z nami!

— I ja także, na honor! — odparł korespondent. Zresztą czego nam tu brakuje? Niczego!

— Chyba że.... wszystkiego! — zawołał Pencroff, wybuchając śmiechem i ruszywszy swemi potężnemi ramionami. Lecz nie dziś, to zawsze kiedyś potrafimy się ztąd wydostać!

— Może nawet prędzej niż się spodziewacie, przyjaciele moi — odezwał się na to inżynier — na wypadek, jeżeli wyspa Lincolna nie zbyt daleko oddaloną jest od którego z zamieszkałych archipelagów lub od stałego lądu. Najdalej za godzinę przekonamy się o tem. Nie mam przy sobie karty Cichego Oceanu, lecz pamiętam dość wyraźnie, jak wygląda jego część południowa. Z wczorajszego obliczenia stopnia szerokości wynika, że wyspa Lincolna leży od zachodu na prost Nowej Zelandji a na wschód od brzegów Chili. Lecz oba te lądy oddziela przestrzeń najmniej sześciu tysięcy mil. Pozostaje nam więc jeszcze obliczyć, jaki punkt wśród tej olbrzymiej przestrzeni zajmuje nasza wyspa, a o tem przekonamy się niebawem, obliczywszy stopień jej długości geograficznej w dostatecznem, jak się spodziewam, przybliżeniu.

— Prawda, że pod względem stopnia szerokości najbliżej nas leży archipelag Pomotuański? zapytał Harbert.

— Tak jest — odparł inżynier — lecz zawsze oddziela nas od niego przestrzeń najmniej tysiąca dwiestu mil.

— A tam? — zapytał Nab, który z wielkiem zajęciem przysłuchiwał się rozmowie, wskazując na południe.

— Tam nie ma nic — odparł Pencroff.

— W samej rzeczy, nic — dodał inżynier.

— No, a cóż będzie — zagadnął korespondent — jeżeli wyspa Lincolna tylko na jakie dwieście lub trzysta mil oddaloną jest od Nowej Zelandji lub od brzegów Chili?

— W takim razie — odparł inżynier — zamiast budować dom, wybudujemy okręt, a pan Pencroff obejmie jego ster....

— Na honor, panie Cyrus — zawołał marynarz — gotów jestem zostać kapitanem... jeżeli pan wymyślisz sposób wybudowania takiego okrętu, któryby wytrzymał na morzu!

— Wybudujemy go, jeśli będzie potrzeba! odparł Cyrus Smith.

Podczas gdy tak gawędzili ze sobą ci ludzie, którzy zaiste nie wątpili o niczem, zbliżała się godzina przeznaczona na obserwację. Jak Cyrus, nie mając żadnego instrumentu, potrafi skonstatować przejście słońca przez południk wyspy? Tego Harbert w żaden sposób nie mógł się domyślić.

Osadnicy nasi znajdowali się wówczas w oddaleniu sześciu mil od „dymników," niedaleko tych wydm, w których znaleźli inżyniera tak zagadkowym ocalonego sposobem. Zatrzymano się więc tutaj, ażeby przyrządzić śniadanie, gdyż było już w pół do dwunastej. Harbert pobiegł po słodką wodę do pobliskiego strumyka i przyniósł ją w dzbanku, który Nab wziął ze sobą.

Podczas tego Cyrus Smith rozpoczął przygotowania do swej obserwacji astronomicznej. Wybrał ku temu na wybrzeżu miejsce czyste i równe, które morze odpływające wygładziło było zupełnie. Ta piaszczysta równina była gładką jak lód, zdawało się, iż żadne ziarnko piasku nie wystawało po nad drugie. Zresztą mało zależało na tem, czyli płaszczyzna ta była całkiem poziomą lub nie, podobnie jak obojętnem było także, czyli tyka na sześć stóp długa, którą osadził w piasku, wznosiła się pionowo. Przeciwnie, inżynier pochylił ją nieco ku południowi t. j. w stronę przeciwną od słońca, nie zapominajmy

bowiem, że dla osadników wyspy Lincolna, przez to, że wyspa położoną była na półkuli południowej, słońce opisywało swój łuk dzienny ponad widnokręgiem północnym a nie południowym.

Wtedy dopiero zrozumiał Harbert, jakim sposobem miał Cyrus zbadać punkt kulminacyjny słońca, t. j. przejście jego przez południk wyspy, czyli innemi słowami: stronę południową miejsca, w którem się znajdowali. Miało się to stać za pomocą cienia, który tyka rzucała na piasek. Środek ten, w braku dokładniejszych instrumentów, był w stanie w znacznem przybliżeniu dać rezultat, o który tu chodziło.

W istocie, w chwili, w którejby cień osiągnął *minimum* swej długości, musiało być samo południe, dość więc było śledzić bacznie koniec cienia, ażeby uchwycić moment, w którymby cień po ciągłem skrócaniu się, począł się na nowo przedłużać. Nachylając tykę ku południowi zwiększył Cyrus Smith długość cienia, przez co łatwiej było śledzić wszystkie jego zmiany. W istocie bowiem, czem dłuższą jest wskazówka na zegarze, tem snadniej śledzić jej poruszenia. Cień tyki był tem samem, czem wskazówka na zegarze.

Gdy sądził, że nadeszła chwila stosowna, ukląkł Cyrus Smith na piasku i za pomocą drewnianych kołków, które wtykał w piasek, począł oznaczać stopniowe skrócanie się cienia tyki. Dokoła niego zgromadzili się towarzysze, przypatrując się temu postępowaniu z największą uwagą.

Korespondent trzymał w pogotowiu swój chronometr, ażeby oznaczyć dokładnie godzinę, w której cień będzie najkrótszym. Wspomnimy tu nawiasem, że był to właśnie 16ty kwietnia, w którym to dniu czas istotny schodzi się z czasem średnim, godzina zatem oznaczona przez Gedeona Spiletta musiała być ta sama, co w Waszyngtonie, co wielce miało ułatwić obliczenie.

Tymczasem słońce posuwało się zwolna; cień tyki skrócał się coraz bardziej, aż wreszcie w chwili, kiedy się Cyrusowi wydawało, że począł wzrastać na nowo, zapytał:

— Która godzina?

— Piąta i jedna minuta — odpowiedział natychmiast Gedeon Spilett.

Nie pozostawało więc nic, jak przystąpić odrazu do obrachunku. Był to rachunek bardzo prosty. Różnica między południkiem Waszyngtonu a południkiem wyspy wynosiła, jak widzimy, okrągłą cyfrę pięciu godzin, to znaczy, że na wyspie Lincolna było południe wtedy, gdy w Waszyngtonie była już godzina piąta z wieczora. Otóż słońce w swym pozornym biegu na około ziemi przebiega jeden stopień co cztery minuty, czyli piętnaście stopni co godzina. Piętnaście stopni pomnożone przez pięć godzin dają siedmdziesiąt pięć stopni.

Ponieważ zaś Waszyngton leży pod 77° 3′ 11″, czyli okrągło pod siedmdziesiątym siódmym stopniem licząc od południka Greenwich, który Amerykanie wspólnie z Anglikami przyjmują za punkt, od którego rozpoczynają liczyć stopnie długości geograficznej — zatem wynikło z tego, że wyspa położoną była w oddaleniu siedmdziesiąt siedmiu stopni więcej siedmdziesiąt pięć stopni na zachód od południka Greenwich, to znaczy pod setnym pięćdziesiątym drugim stopniem szerokości zachodniej.

Cyrus Smith obwieścił ten rezultat obliczeń swoich towarzyszom, biorąc przytem w rachubę, podobnie jak to uczynił przy obliczaniu stopnia szerokości, możebne niedokładności i usterki obserwacji. W skutek więc tych obliczeń swoich mógł twierdzić dość stanowczo, że wyspa Lincolna położoną była między trzydziestym piątym a trzydziestym siódmym równoleżnikiem, jakoteż między setnym pięćdziesiątym a setnym pięćdziesiątym piątym południkiem na zachód od południka Greenwich.

Zboczenie wynikłe z niedokładności obserwacji mogło, jak widzimy, wynosić po pięć stopni w obu kierunkach, co licząc sześćdziesiąt mil na stopień, przedstawiało różnicę trzystu mil tak na szerokość jak i na długość.

Różnica ta jednak nie mogła w żaden sposób wpłynąć na zamiary naszych osadników. Widocznem było, że wyspa Lincolna tak odległą była od wszelkiego lądu lub archipelagu, że szaleństwem by było odważyć się na tak daleką żeglugę w prostej, kruchej łodzi.

W istocie obliczenia inżyniera okazały, że oddzielało ją od Taiti i wysp archipelagu Pomotuańskiego najmniej tysiąc dwieście mil, od Nowej Irlandji przeszło tysiąc ośmset mil, a od wybrzeży amerykańskich około czterech tysięcy pięćset mil!

Lecz Cyrus Smith pomimo całego wytężenia pamięci, nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, by w tej części Cichego Oceanu znajdowała się jakakolwiek wyspa w miejscu, jakie według jego obliczeń zajmować miała wyspa Lincolna. (C. d. n.)

POGADANKI.

XXIV.

Anioł śmierci przeleciał nad Polską i ciężkich, boleśnych zażądał od nas ofiar w krótkim przeciągu czasu. Nim tydzień upłynął od zgonu Józefa Kremera w Krakowie, jeden i ten sam telegram z Poznania doniósł nam, że 9. maja rano umarła tam Paulina z Lauczów Wilkońska, a w południe tego dnia, w majętności swojej Brdowie pod Czeszewem, Karol Libelt zakończył żywot pełny cnót i zasług obywatelskich, pełny najchlubniejszych wspomnień wytrwałej pracy, stałego męztwa i ofiarnej miłości kraju. Jeżeli możliwem jest stopniowanie w smutku, z trzech tych hjobowych wieści, ostatnia najgłębiej dotknęła cały naród. W Libelcie opłakujemy nietylko uczonego i pisarza, nietylko doświadczonego w boju szermierza i nieustraszonego wiary narodowej wyznawcę, ale także jednego z tych mężów, którzy nam przodowali w zapasach z obcym uciskiem i około których garnęły się szczupłe nasze zastępy. Strata, jaką naród w ogóle poniósł z jego śmiercią, jest oraz klęską poniesioną na zachodnich kresach ojczyzny, bo braknie Wielkopolsce najwybitniejszego jej przedstawiciela, braknie jej najpowszechniej uznanego i czczonego przywódcy. Jakkolwiek Libelt od niejakiego czasu usunął się był od zawodu publicznego, imię jego wywierało wpływ sympatycznie jednoczący, i on jeden może zdolnym był zapobiedz ostatecznemu rozstrzeleniu się tamtejszych naszych usiłowań, lub skierowaniu ich w ową bezpłodną jednostronność, do której niestety prą wielkopolskich naszych braci opłakane stosunki ich dzielnicy.

Karol Libelt urodził się w Poznaniu 8 kwietnia 1807, kształcił się w uniwersytecie berlińskim, a w r. 1831 pospieszył w szeregi narodowe i dosłużył się w artylerji krzyża „Virtuti militari“. Po powrocie do Poznania poświęcił się naukom i piśmiennictwu, redagując między innemi „Dziennik domowy“ (później „Rok“). Działanie to jego przerwane było dwukrotnem więzieniem stanu, ale wydało świetne owoce, W. Kstwo. Poznańskie za jego głównie przyczynieniem się i inicjatywą, poczęło przodować całej Polsce na polu piśmiennictwa pożytecznego, bo rozpowszechniającego wiedzę i roznoszącego ją w najdolegljejsze zakątki i pod najskromniejszą strzechę. Sam Libelt nie tylko zajmował się naukami, ale także niezrównanym był ich popularyzatorem — i jakkolwiek cennemi są większe jego, poważne prace, to nadewszystko należy mu się hołd za zasługi poniesione mnóstwem mniejszych rozprawek i artykułów, mających na celu nie błyszczenie wiedzą, ale niesienie jej ogółowi w jasnej i przystępnej formie. Tem samem piórem, którem jako *par inter pares* traktował najwyższe zagadnienia umysłu ludzkiego — nazajutrz spieszył układać podręczniki szkolne, lub w małej broszurze wyjaśniać profanom fenomena przyrody, zajmujące świat uczony. Wśród tego wszystkiego pełnił niezmordowanie obowiązki reprezentanta swojego narodu w sejmie pruskim, i długi czas przewodniczył polskiemu kołu poselskiemu w Berlinie. Jako przedstawiciela Wielkopolski, ludność Lwowa witała go w r. 1868 z nieznanym w naszych zimnych stronach zapałem.

Nie może to być zadaniem kronikarskiego artykułu, oceniać obszernie literackie i polityczne zasługi, którym należy się hołd poważniejszy i rozbiór wszechstronny. Na razie tylko, pod wrażeniem tak bolesnego dla wszystkich ciosu, spisuje się tutaj z pamięci kilka główniejszych dat i parę uwag, które się same nasuwają. Wskażę więc jeszcze tylko usilność, z jaką śp. Karol Libelt pragnął zastosować działanie swoje do potrzeb i właściwości narodu, którego był chlubą. Jest to jedną z charakterystycznych a najpiękniejszych cech jego indywidualności. Jak z jednej strony, jako pisarz i uczony, nie drapował się wyłącznie w togę akademicką ale uważał za potrzebne schodzić z wyżyny i uczyć drugich, tak z drugiej strony, jako polityk liczył się z pewnemi właściwościami naszemi szczepowemi, które nigdzie nie występują tak szorstko i wybitnie jak w zachodniej części kraju, gdzie żywioł polski przeważnie katolicki, przeciwstawiony jest niemieckiemu, przeważnie protestanckiemu. Libelt, niewątpliwie wyznawca zasad postępowych i liberalnych usiłował zawsze zatrzeć różnicę i zapełnić przepaść dzielącą te zasady od pewnych naszych uprzedzeń tradycyjnych i od ducha wiejącego w kościele pełnym nietolerancji i najzarozumialszej pod słońcem ekskluzywności. Usiłowanie to może bezowocne, a tem samem, chybione, ale płynęło ono z szlachetnej pobudki, z chęci stosowania się do fundamentów, na których ma się budować dalej. Śmielszy, reformatorski duch wolałby był zapewne oczyścić poprzednio grunt i dać gmachowi nowe, trwalsze podwaliny, ale któż weźmie na siebie odpowiedzialność za działanie z natury swej i konieczności w początkach destrukcyjne, nie mając pewności, że rekonstrukcja pójdzie po myśli? Był tedy Libelt liberalnym katolikiem, był jednym, i drugim, i jeżeli komu udało się pogodzić tak absolutne sprzeczności, to jemu. A udało mu się, bo nadewszystko, nad doktryny i teorje, ukochał sprawę narodową, i każda myśl jego, każde dążenie, skierowanem było do jej dobra. Wielu mamy liberałów, a więcej jeszcze katolików, ale jakże

mało takich, na których grobie kraj i naród cały z równie rzewną łzą w oku i z równie serdeczną, głęboką boleścią złoży wieniec pośmiertny, i jak dzisiaj, jednogłośnie zawoła:

Cześć pamięci Karola Libelta!

Jan Lam.

Listy z Anglji.

IRLANDZKIE RUCHY.

Londyn w maju 1875 r.

(Ciąg dalszy.)

Ten niedorzeczny alarm, że pewna, mianowicie wyzwolona postać wiedzy zabija patrjotyzm i moralność, ten mówię alarm, który w życiu narodów bywał zwykle złowrogim ludowej wiary głosem puszczyka, ciągle dreszczem przejmuje światłe umysły Irlandji. Bo po nad jej ciałem krąży już tylko drapieżne stado ortodoksyjnych kruków. A takie stada unoszą się tylko nad umierającemi lub trupami. Więc powtarzam: szanując tendencje wszelkich irlandzkich protestów, trzeba nieraz odwrócić niechętnie wzrok od ich szpetnej, anachronistycznej, wstecznością rażącej formy. Naród ten jednakże miał swoje chwile szlachetniejszych wystąpień, niż obecny ośli opór w parlamencie przeciwko każdej innowacji, miał wreszcie a nawet ma zapalonych i energicznych patrjotów, którzy porywają się na przedsięwzięcia dorastające bajecznym planom bohatera „Tajemnic Londynu,“ którzy ową jednostkową nienawiścią chcieli zapalić uczucia swego narodu i rozsadzić w ten sposób podminowaną potęgę wrogiej Anglji. Ludzie tacy mimo całej zuchwałości swych nadziei, wiary w powodzenie i zdumiewającej siły charakteru, giną zwykle, nie wszedłszy do historji, która nie zapisuje chęci lecz czyny. Właśnie przed paru tygodniami zamknęła się na cmentarzu irlandzkich dziejów jedna tego rodzaju mogiła. Włożono pod nią człowieka, który życie swoje postawił na karcie zdumiewająco nieprawdopodobnej rachuby, który w czasie armat, stałych armji, wszechwiednej policji i bankructwa cudowności chciał zostać Tezeuszem swojej ojczyzny. Czy sądzicie, że ten zamiar i cząstkowe jego spełnienia daleko rozsławiły marzyciela? Nie. Polityczne dzienniki notowały wprawdzie przez kilka dni ubiegłego miesiąca wiadomości o niejakim Johnie Mitchell, ale uwaga prasy koncentrowała się głównie na ten szczegół, że owego Johna Mitchell w okręgu wybrano, a w Izbie n'e przyjęto do parlamentu. I gdyby nie potrzeba wymotywowania odmowy, która przypomniała, że nowo wybrany członek nie posiadał kwalifikacji do poselskiego mandatu, bo był sądownie karany, gdyby, mówię, nie ta okoliczność, nawet w Anglji rzadko kto by wiedział, że ów bohater dziennikarskich sprzeczek miał swoją bardzo ciekawą historję po za wypadkami parlamentarnej awantury i wart był bliższego zastanowienia. Mitchell był z pochodzenia, z instynktów i przez wychowanie irlandczykiem. Na skłonnościach do fanatyzmu i spokojnej zawziętości, które przejął od swego narodu, ojciec zaszczepił mu niewykorzenioną nienawiść do Anglji. Setki tysięcy pognębionych ojców każą swym synom składać hannibalową przysięgę, w pewnej więc mierze musiał ją choć niemo złożyć i młody John. Nie przeniewierzył jej się. Ile tylko jadu jedno serce z swej nienawiści wysączyć może, tyle Mitchell wylał go na Anglję. Gdyby jego przywiązanie do własnego kraju posiadało tę moc, jaka bez przerwy naprężała w nim nieprzyjaźń dla pokrewnego i zwierzchniczego i co główniejsza, gdyby za natchnienie życia wybrał był sobie nie drugie lecz pierwsze uczucie, stałby się ukochanym powszechnie dobroczyńcą, zmieniwszy kolej został tylko niebezpiecznym przez namiętność, lecz niezbyt szkodliwym przez marzycielstwo spiskowcem. Mówiąc „nie zbyt szkodliwym“ mam na myśli.... stałą armję Anglji, która nie czuła się przez burzyciela wcale zagrożoną. Mniej spokoju doznawała policja i sądy. Dla tych Mitchell jeśli nie był strasznym był w każdym razie co najmniej nieznośnym. Jako redaktor pisma „United Irishman“ i jako zapalony agitator podpalał ciągle namiętności ludu przeciwko Anglji. Był on dla niej albo tym okrutnym robakiem, który wwierciwszy się raz w ciało rozmnaża się w niem i zagryza tysiącem niewidzialnie wylęgłych żądeł, albo śmiałym, otwartym i niezrażonym sztyletnikiem. Gdy Irlandję nawiedziła pamiętna plaga głodu, Mitchell złożył całą winę nieszczęścia na Anglję. Skierowana w tę stronę rozpacz mas wybuchła całą oddawna gromadzoną nienawiścią. Była chwila, w której zdawało się, iż skromny dziennikarz, chcący odegrać rolę Samsona, istotnie zatrzęsie państwowym gmachem i wraz z sobą zasypie nieprzyjaciół swoich gruzami. Te i tym podobne zamachy zapisały Mitchell'a na listę ludzi strzeżonych i wprowadziły go pod dozór władz policyjnych. Nie obrachował — niestety — jak daleko mu bezkarnie iść wolno i spadł w przepaść. Jedna z proklamacyj jego dziennika była nieustraszonem wyzwaniem rządu, który odpowiedział na to uwięzieniem swego wroga i deportacją. Chociaż rzadko kto podzielał oszalałe z bolu uczucia winnego, chociaż niewielu przez burzycielską powłokę jego agitacji mogło dojrzeć coś więcej nad chętkę robienia publicznej awantury, jakieś wszakże przeczucie rozbudziło szeroką i żywą dla niego sympatję. Starano go się uwolnić. Zanadto jednak był wobec rządu skompromitowany. Krótki proces nie uchronił go od wywiezienia. Irlandja straciwszy z oczu głównego obrońcę swej niepodległości, byłaby może po kilku latach zupełnie o nim zapomniała, gdyby ten nagle w niej się nie zjawił. Udało mu się bowiem uciec z miejsca przymusowego osiedlenia.

(D. n.)

Piśmiennictwo polskie.

WIADOMOŚCI O PISMACH:

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

niezamieszczonych w lipskiem wydaniu Brockhausa.

Napisał

JULIAN KOŁACZKOWSKI.

(Dokończenie.)

W wydaniu pośmiertnych poezyj Zygmunta Krasińskiego, które Mieczysław Dzikowski w roku 1867 w Poznaniu ogłosił, znajdują się jeszcze:

10) Wiersz p. t. „Adamowi hr. Sołtanowi“ zaczynający się od słów:

„Co u Ciebie długo spało“ i t. d.

był napisany na pierwszej kartce oprawnego egzemplarza „Noc letnia“ przesłanego Adamowi hr. Sołtanowi od Zygm. Krasińskiego z Münich. Odnosi to się do tego, że manuskrypt „Nocy letniej“ zostawiony był przez Krasińskiego u Adama Sołtana w Wiedniu, gdzie przez kilka lat rękopism ten przeleżał.

11) Wiersz przesłany przez Z. K. z Rzymu w roku 1839 w liście Adamowi hr. Sołtanowi, zaczynający się od słów:

„Jak anioł spadły, leżący w piękności.“

12) i drugi znajdujący się w tym samym liście od słów:

„Dla ciebiem wszystko straciła na ziemi.“

w którym Krasiński opisuje wrażenia, jakie na nim sprawiła kampanja Rzymska.

13) Wiersz bez tytułu i bez początku zaczynający się od słów:

„Lecz wszystko świeckie dziś pełne podłości.“

pisany był w roku sprowadzenia zwłok Napoleona i przebija się już w nim rozczarowanie i wzgarda dla zmaterjalizowanego świata.

W „Przeglądzie polskim“ krakowskim z roku 1873 za miesiąc luty zamieścił Stanisław hr. Tarnowski, profesor wszechnicy Jagiellońskiej, następujące wiersze Zygmunta Krasińskiego:

14) Wiersz bez tytułu, zaczynający się od słów:

„Tam gdzie spokój i grób pychy.“

napisany 18. lutego 1842 roku.

15) Wiersz p. t. „W Albumie Konstantego Gaszyńskiego“ napisany 30. marca 1843 roku.

16) Wiersz p. t. „Na Sybir“ od słów:

„Z przed ócz wam zniknę—jak fala z przed łodzi.“

napisany w Heidelbergu 1845 r.

17) Wiersz p. t. „I słowik tylko po Świętym Wit spiewa“ zaczynający się od słów:

„Pytasz się, czemu ucichły me pieśni.“

18) Wiersz p. t. „Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy“ zaczynający się:

„O wiem, że Polska bój zwycięzki toczy.“

W „Przeglądzie poznańskim“ z r. 1861, tomie 31, wydrukowano:

13) Wiersz p. t. „Oblężenie Wiednia w roku 1848“ zaczynający się od słów:

„Nad miastem — chmury apokaliptyczne.“

Wiersz ten napisany 15. października 1848, a w roku 1872 przedrukowany był powtórnie w Czasie p. t. „Vindobona“ gdzie w przypisku mylnie powiedziano, że wiersz ten dotąd nigdzie nie był drukowany.

20) Wiersz p. t. „Do przyjaciela“ zaczynający się:

„Gdy czyhał na mnie północny morderca.“

napisany był 15. października 1847.

21) Wiersz p. t. „Poeta“ drukowany był w Dzienniku narodowym paryskim z r. 1844 w numerze 152.

W „Kronice rodzinnej“ z roku 1873 znajdują się:

22) Na str. 6 wiersz p. t „Do kobiety“ zaczynający się od słów:

„Choć serca znęcisz skrawych ócz kryształem.“

23) Na str. 175 wiersz p. t. „Pożegnanie“ od słów:

„Ledwom cię poznał, już cię żegnać muszę.“

24) Na str. 175 wiersz p. t. „Do Beatryczy“ zaczynający się:

„Darmo świat ziemski pląsem mnie otoczy.“

25) Na str. 208 wiersz p. t. „Po śmierci.“

„Gdy wkrótce droga! śmierć wiatrom rozrzuci.“

26) Na str. 289 wiersz p. t. „Zawsze i wszędzie.“

„O nie mów o mnie, gdy mnie już nie będzie.“

27) Na str. 319 wiersz od słów:

„Gdybym dziś, jutro, lub dnia z tych jakiego.“

28) Wiersz p. t. „Fryburg“ drukowany w „Kronice rodzinnej“ z roku 1874 na stronie 50. Wiersze zaś umieszczone w „Kronice rodzinnej“ z r. 1873 na str. 109 p. t. „Koloseum,“ i na str. 366 bez tytułu, zaczynający się od słów: „Jak anioł spadły leżący w piękności“ drukowane były już dawniej t. j. pierwszy w „Przeglądzie polskim“ z r. 1873 za miesiąc luty, jednak bez tytułu, drugi w „Poezjach pośmiertnych“ Zygmunta Krasińskiego wydanych przez M. Dzikowskiego w Poznaniu 1867 ale w skróceniu; w całości ukazał się dopiero w „Kronice rodzinnej.“

B) Rozprawy i dzieła prozą pisane, które były już drukowane gdzie indziej, a nie znajdują się w lipskiem wydaniu:

1) Rozprawa obszerna o „Juljuszu Słowackim“ drukowana była bezimiennie w „Tygodniku literackim“ poznańskim z r. 1841 w numerach 21, 22, 23. Że ta rozprawa jest rzeczywiście pióra Krasińskiego, dał nam niewątpliwy dowód pan Antoni Małecki w swojem gruntownem dziele p. t. Juljusz Słowacki, jego życie i dzieła, wydanem we Lwowie w roku 1866—67 w dwóch tomach.

2) „Modlitwa“ drukowana była w Dzienniku literackim lwowskim z r. 1869, w numerze 89.

3) „Grób rodzinny Reichstadów.“ Utworen pojawił się po raz pierwszy w „Dodatku do korespondenta warszawskiego“ (Rozmaitości) z r. 1828 wychodzącym pod redakcją F. S. Dmochowskiego, następnie wyszedł osobno, w Warszawie r. 1829, ale cały nakład jego był przez babkę autora wykupiony i zniszczony. Nareszcie w r. 1862 przedrukowała ten utwór „Pszczoła“ warszawska.

4) „Ułamek z dawnego rękopismu słowiańskiego“ przez Z. K. wydany był w roku 1830 w Warszawie.

5) „Władysław Herman i dwór jego,“ powieść historyczna z dziejów narodowych 11go wieku, przez N. K. co znaczy przez Napoleona Krasińskiego. (Krasiński bowiem miał trzy imiona: Napoleon, Aleksander i Zygmunt.) Utwór ten wyszedł w r. 1830 w Warszawie w trzech tomach.

C) Utwory Zygm. Krasińskiego nigdzie dotąd niedrukowane. Do tych należą:

1) „Trójca w ludzkości i w narodzie.“ Utwór ten czytał ś. p. Bronisław F. Trentowski, i tak się o nim w dziele swem „Panteon wiedzy ludzkiej“ wyraża: „Jest jeszcze rękopism Zygmunta Krasińskiego, który czytałem, a który ma podobno napis: „Trójca w ludzkości i w narodzie.“ Ze wszystkiego, co on napisał i wydał, najważniejsza i najciekawsza to praca. To istna filozofja jego! Oby usunąć raczono rychło skrupuły, o których także słyszałem, i dano nam dzieło to w ręce! Wszakże spuścizna po wielkim mężu należy do narodu.“ Byłoby wielką zasługą wydawców, gdyby się o ten utwór postarali i wydać go chcieli,

2) „Zawisza czarny“ powieść, która około roku 1830 gdzieś zaginęła.

3) „Adam szalony“ powieść napisana około roku 1830, zapewne znajduje się w rękach familji.

4) „Przeor“ powieść napisana około r. 1834.

5) „Gasztold“ powieść napisana w Rzymie w r. 1830 w ciągu 24 godzin po wygraniu zakładu z Adamem Mickiewiczem.

Na te utwory szczególnie zwracamy uwagę wydawców, by odszukać i wydać je chcieli, gdyż są to rzeczy wcale dotąd publiczności polskiej nieznane, a takbyśmy je poznać pragnęli!

D) „Listy Zygmunta Krasińskiego.“ Tu należą: Listy o poemacie Kajetana Koźmiana p. t. „Stefan Czarnecki,“ które wyszły w roku 1859 w Poznaniu, a któremi dał nam dowód, że można być wielkim poetą a słabym krytykiem. „Wyjątki z listów“ Krasińskiego, które Konstanty Gaszyńki wydał w Paryżu 1860 i 1861 roku. „Listy“ od roku 1835 do 1844 pisane do Edwarda Jaroszyńskiego, ogłoszone z oryginałów znalezionych we wsi Hrużce na Podolu przez M. Gorzkowskiego w Krakowie roku 1871 i wykupione przez rodzinę. tak że się do handlu księgarskiego wcale nie dostały.

Oprócz tych wiele listów bądź całych bądź w wyjątkach drukowane były w „Przeglądzie poznańskim“ z r. 1861 w tomie 31, w krakowskim „Przeglądzie polskim“ z r. 1873 za luty, w dziele Antoniego Małeckiego „O życiu i pismach Juljusza Słowackiego:“ w dodatku do „Czasu“ z roku 1859 za Marzec, gdzie jest ciekawy list Krasińskiego o Słowackim pisany do Romana Załuskiego; w pośmiertnych poezjach Zygmunta Krasińskiego wydanych przez Mieczysława Dzikowskiego w Poznaniu 1867; w „Dzienniku literackim“ lwowskim z r. 1852 i 1857; w „Czasie“ z r. 1857 numerze 51, a z r. 1859 w numerach 255 i 257, w „Gazecie lwowskiej“ z lutego 1875 roku, w „Kronice rodzinnej“ warszawskiej jest wiele listów Krasińskiego, w „Bibljotece warszawskiej“ z r. 1871 w tomie 2. W „Bibljotece genewskiej jest umieszczony list Krasińskiego do „Bonstettena“ o stanie literatury polskiej od wieku 16. Jest to zarazem jedna z pierwszych jego prac, gdzie z młodzieńczym zapałem podnosi zasługi naszych pisarzy. Nakoniec mnóstwo listów nigdzie dotąd niedrukowanych, które są w posiadaniu familji, a których ilość ma wynosić kilka tysięcy.

Ileż to przecudnych myśli i zdań, prawdziwych skarbów naszej literatury ukrywa się przed światem w tych drogocennych listach. Jakiż to bogaty materjał dla przyszłego biografa Zygmunta, na którego niestety może już za długo czekamy.

Oby się pp. wydawcom udało jak najprędzej wydobyć je, i oddać w ręce czytającej publiczności.

Z po nad mogił.

(*Karol Libelt.—Paulina Wilkońska.—Józef Kremer.*)

Duch słowa wielkiego i hasła,
Co dan był jak rosa,
Uleciał w niebiosa,
I gwiazda dla ziemi zagasła.

W. Pol.

Powtarzająca się od kilku tygodni w dziennikarstwie naszem, uporczywa wieść o ciężkiej chorobie Dr. Karola Libelta, nagle, jak piorun uderzyła w serca polskie — fatalną i opłakaną nowiną: Karolt Libelt umarł!...

Trudno zaiste pod tem przytłaczającem wrażeniem skupić spokojną myśl do opowiedzenia żywota męża — który w tylu i tak różnorodnych kierunkach położył niepospolite zasługi, trudniej stokroć z piórem krytyka jąć się rozbioru dzieł jego, których wpływ szeroko rozciągał się na kraj cały.

Jedna i jedyna skarga wyrywająca się zarówno z pod pióra krytyków jak i z pod serca współrodaków — zlewa się w ogólny żal, w jedno potężne echo: Karol Libelt umarł...

Żył jak Polak. i całem życiem świadczył głośno idei Polski; umarł jak Chrześcijanin i wszystkie pisma jego są odzwierciadleniem umysłu prawdziwego Chrześcijanina. Dnia 9. czerwca. o wschodzie słońca, w majętności Brdowie w Wielkopolsce, zasnął po długich cierpieniach, opatrzony św. Sakramentami.

Nad grobem jego słusznie wygłosić można to, co nad grobem Śniadeckiego wyrzekł Trentowski: „Ecce homo!“ W tem wyrażeniu zamyka się cała istota jego działalności — i cała głębia żalu naszego po nim!...

Ecce homo!... Jak piękny wzór dla współczesnych. a jak spiżowy posąg dla potomnych stał mąż ten przez długie lat dziesiątki, na świeczniku literatury naszej. Z odwagą nieustraszonego bojownika, zatykał sztandar walki wobec zalewającego nas zewsząd giermanizmu i stał niezachwianie u wyłomu działalności naszej narodowej...

Poseł, żołnierz i więzień stanu, mędrzec i rolnik, nieraz jak Cyncynatus od pługa, powoływany był na dostojeństwo przzodowania kołu polskiemu w parlamencie berlińskim; piórem i słowem — poświęceniem i wytrwałością walczył do ostatniej chwili, i ostatnia myśl jego była zawsze o Polsce.

Dalecy od fałszywej skromności wyznajemy z pokorą, że brak nam odwagi do skreślenia żywota tego męża, na którego działalność patrzyliśmy z uwielbieniem — od którego braliśmy zachętę i błogosławieństwo do pracy. Te usta, które ze czcią kładły się na dostojną rękę zmarłego, nie mają odwagi mówić nawet o czci jakiej były wyrazem. Niech to uczynią inni, godniejsi i poważniejsi odemnie...

Postać Libelta maluje się przed oczyma naszemi jak owi męże Plutarcha, co podług pięknego określenia Ujejskiego, mają w sobie „coś z lwa i z orła, z dziecka i z męża.“ Orłowe skrzydła i słodycz dziecięcia...

Karol Libelt urodził się w 1807 roku w Poznaniu, — a „kołyska jego — podług własnego wyrażenia — stała obok warsztatu jego ojca.“ Po ukończeniu pierwszych nauk w rodzinnem mieście, udał się w r. 1826 na uniwersytet berliński, na którym, w trzecim już roku studjów swoich, otrzymał złoty medal za ocenienie prac Spinozy. Ukończywszy studja ze stopniem doktora — rozpoczął podróż naukową po Niemczech i Francji. Tymczasem na ziemi naszej zawrzała krwawa walka odwetu — strzały belwederskie dały hasło do ogólnego powstania!... Przed oczyma młodego uczonego leżały dwie drogi: droga sławy — i droga obowiązku.. Którąż mógł wybrać, jeśli nie tę ostatnią? Mędrzec, przeczuwał sercem, że niegodzien ten nosić wieńca laurowego, kto pierwej nie dźwigał cierniowej korony.

Dziś na trumnie Libelta spoczywa wawrzyn nauki — a piersi jego ozdabia krzyż zasługi wojskowej!...

Na tem kończę — a rzucając grudkę ziemi na świeżo usypaną mogiłę, przechodzę do drugiej zarówno drogiej nam trumny aby i na niej złożyć wieniec laurowy.*)

Tegoż samego dnia — i o tymże samym niemal czasie, zasnęła w Poznaniu snem wiecznym ś. p. Paulina z Lauczów Wilkońska, żona niedyś niezrównanego humorysty ś. p. Augusta Wilkońskiego— i sama, rozgłośnej sławy autorka. — Całe jej życie było ciągłem pasmem niezmordowanej pracy; — całe jej natchnienie obracało się tylko około dobra i piękna tych dwóch znamion dusz prawdziwie czystych i wysokich.

Młode pokolenie Polek — z wdzięcznością zawsze zwracać się będzie do ś. p. Pauliny, bo ona to, niosła im z macierzyńską dobrocią czystą karm duchową, — neutralizując powabnemi swemi obrazkami na tle rodzinnych stosunków snutemi, zgubny wpływ romansów francuskich.

Do rzędu najpiękniejszych powieści Wilkońskiej, należą bezwątpienia Wawrzyna — Mrowin i Trock i dwu tomowa powieść p. t. Irena.

Paulina Wilkońska, do końca życia nie wypuszczała pióra z ręki. Owocem tych chwil ostatnich są dziwnie urocze jej wspomnienia o życiu literackiem w Warszawie i na prowincji Królestwa Kongresowego.

Cześć ci, niezmordowana pracownico! — cześć ci dobra Polko i patrjotko! Jak żniwiarka z pola odeszłaś w pełnym, kłosistym wieńcu na skroni — tam, gdzie nas wszystkich czeka zapłata, w miarę trudów naszych i starania!

Twoją zapłatę już Bóg Ci odmierzył.

Wł. Bełza.

W ostatnim numerze „Tygodnia“ podaliśmy bolesną wiadomość o zaszłym w dniu 2. bm. zgonie ś. p. Józefa Kremera. Imię to zbyt głośne w literaturze i nauce, abyśmy straty, jaką przez śmierć tę ponieśliśmy, nie mieli uznać za niepowetowaną. Obecnie pośpieszamy zamieścić kilka dat z pracowitego żywota, który biografom bogatego dostarczy materjału. Ś. p. Józef Kremer urodził się w r. 1806 w Krakowie, gdzie też początkowe pobierał nauki, następnie na uniwersytetach w Berlinie, Heidelbergu i Paryżu gromadził obszerny zasób gruntownej wiedzy i czerpał ze źródeł rozpowszechnionej podówczas filozofji niemieckiej, Pracowitego i świetnie zapełnionego zawodu naukowego niepodobna objąć w krótkiej wzmiance; oto tytuły głównych dzieł, które równy wywierały wpływ na umysły, oile współczesny rozwój poezji: „Fenomenologja ducha,“ „Wykład systematyczny filozofji,“ „Listy z Krakowa,“ „Podróż do Włoch,“ „Estetyka.“ Od r. 1850 objął Kremer katedrę filozofji i estetyki na uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie też piastował godność rektora i dziekana. Świetność swego stylu przeniósł Kremer do wykładu uniwersyteckiego. Pracował też niezmordowanie, jako profesor; nieledwie byłby skonał na katedrze, bo nie pozwalał sobie nigdy przerwy i odpoczynku; ścisłość w pełnieniu obowiązków, łączył z ujmującem obejściem, gruntowność naukową z humorem towarzyskim. Uczynny, koleżeński, łatwy w pożyciu, nieskalanego charakteru, zjednywał sobie przyjaźń kolegów, a cześć ogółu. Nie odpoczął nawet w pracy, gdy już rak toczył ciało, a wiek odejmował siły; umysł jego zachował do końca nietylko trzeźwość, ale właściwy mu wdzięk. Mimo wzmagającej się choroby, Kremer wykładał jeszcze przed dwoma miesiącami, a tłumiąc cierpienia, przewodniczył niedawno jeszcze na posiedzeniach komisji filozoficznej w Akademji. Jak słowem, tak i piórem pracował do końca, czego dowodzi wychodząca obecnie w „Bibljotece Warszawskiej“ najświeższa rozprawa, a na biurku pozostały niedokończony rękopism: „O błędzie bezwyznaniowości.“ Filozof ten bowiem doszedł do gorącej wiary, którą pogodzić umiał z całym aparatem filozoficznym, jaki wyniósł ze szkoły niemieckiej i na polski przemienił system. Wysoki zmysł estetyczny i krytyczny łączył się w Kremerze z miłością pa-

*) Libelt był autorem następujących, rzetelnie cenionych dzieł w literaturze: „Filozofia i krytyka“ — „Estetyka czyli umnictwo piękne“ — „Wykład matematyki“ — „Dziewica Orleańska“ — i wielu rozpraw politycznych, krytycznych i estetycznych umieszczanych w Dz. domowym, w Roku, w Pszczole polskiej, w Tygodniku literackim, w Tygodniku Wielkopolskim, w Ruchu literackim i w Tygodniu. „Pomniejsze pisma“ jego razem zebrane wyszły w 6 tomach w Poznaniu 1851 r. P. R.

miątek krajowych, a zwłaszcza rodzinnego Krakowa, któremu w „Listach z Krakowa“ cenny postawił w piśmiennictwie pomnik. Temu też zawdzięczał popularność swego imienia, które ogólną wzniecało sympatję. Józef Kremer był członkiem krakowskiej Akademji, w której objął przewodnictwo jednego wydziału, oraz członkiem wielu zagranicznych towarzystw uczonych.

BIBLIOGRAFJA.

Francuska.

— Bornier Henöi. „La fille de Rolland“. Drame en 4 actes, en vers. Paris — 1875.

Po okropnych klęskach, jakie Francuzi w ostatnich latach ponieśli, postrzegamy u nich bardzo poważny zwrot w literaturze dramatycznej. Po tych smutnych przejściach umysł ich biegnie z zapałem w świetne czasy Karola Wielkiego i Dziewicy Orleańskiej. Temu zwrotowi umysłów przypisać należy powstanie kilku dramatów o treści historycznej i wielkiej wartości artystycznej. Dawno jednak teatr francuski nie przedstawił utworu takiej doniosłości, jak córka Rollanda. Rzadko dzieło sztuki doczekało się tak jednomyślnego uznania. Przedmiot do tego dramatu wziął Pan Bornier z pieśni o „Rolandzie“, sławnej epopei Teroulda. Roland, najgłośniejszy z bohaterów z epoki Karola Wielkiego, pozostawiony w Hiszpanji jako jej stróż, w skutek czarnej zdrady Ganelona, swego teścia, napadnięty został przez przemagające siły saraceńskie w wąwozach Roncesvalles i po długiej a straszliwej walce śmierć znalazł. Podanie to, zawarte w kronice Eginharda, dostarczało już dawniej przedmiotu licznym pieśniom ludowym, z których trzy czytaliśmy w tomie I. w Bibliotece warszawskiej z r. 1866, w prześlicznym przekładzie Seweryny Dmochowskiej. Postać Rolanda przystrajają te pieśni promienistą aureolą; Roland występuje w nich jako idealny typ francuskiego rycerza. W epopei francuskiej Ganelon skazany na śmierć wyrokiem Karola Wielkiego, kończy życie w najsroższych mękach. Według dramatu pana Bornier zostaje Ganelon jak nasz Mazepa przywiązanym do bystrego rumaka, a tenże w lasy popędzony. Zakonnicy napotykają go w lesie, goją jego rany a w duszy bohatera powstaje dziwna metamorfoza. Przywiedziony do szczerej skruchy staje się dzielnym rycerzem i troskliwym ojcem. Osiadłszy w samotnym zamku nad Renem, pod nazwiskiem Amaury, oddaje się całkiem wychowaniu swego syna, Geralda. Dwadzieścia lat nie mogą w Ganelonie zatrzeć wspomnienia haniebnego czynu, a krwawe widziadła nie dają mu spokoju, zwłaszcza że Gerald, typ rycerza, ubóstwia Rolanda a przeklina Ganelona, w nieświadomości iż przeklina własnego ojca. Tu zaczyna się dramat. Bohaterskim czynem uwalnia Gerald córkę Rolanda, Bertę, z rąk dzikich Saksonów. Przybywszy do zamku Amaurego wyznaje Berta, kim jest; imię córki Rolanda wywołuje straszny wyrzut u starego przeniewiercy. Gerald pokochał Bertę i zwierzył się ojcu. Tenże z bojaźni przed możliwem odkryciem zakazuje synowi kochać siostrzenicę Karola Wielkiego. Tymczasem sama Berta wyznaje mu swoją miłość, może więc spodziewać się zezwolenia Karola. W trzecim akcie dopiero zostaje Ganelon poznanym. Jesteśmy na dworze Królewskim w Akwisgranie. Od miesiąca otwarto szranki. W nich wystąpił Saraceńczyk, który przed dwudziestu laty podjął Durandalę (miecz) z martwej ręki Rolanda. Trzydziestu rycerzy wystąpiło do zapasów a wszyscy ulegli!

Wtem powstaje sędziwy król, aby wystąpić w szranki i ukrócić zuchwałość dumnego Saracena. W tej chwili słychać głos dzwonka srebrnego, na scenie ukazuje się wspaniała postać Geralda. Karol podaje mu własny miecz; spotkanie odbywa się za sceną; Karol i Berta przypatrują się z balkonu, Gerald zwycięża, a jako nagrodę otrzymuje od Karola rękę Berty. Na obchód weselny zapraszają i ojca Geralda, Amaurego. Autor wprowadziwszy Amaurego odkrywa nam w monologu okropny stan jego duszy. Karol podsłuchawszy, poznaje zdrajcę; z początku zapałał srogim gniewem, lecz później zdjęty skruchą przebacza, a Ganelon ma wyruszyć do Palestyny aby usunąć się z przed oczu ziomków. Nim jednak odszedł, został przez pewnego Saksończyka poznany, któremu niegdyś w bitwie zabił ojca. Saksończyk rzuca mu w oczy zdradę i chce wszystko wyjawić synowi! Ganelon jednak uprzedza go. Gerald z ust własnego ojca dowiaduje się o strasznej zbrodni, rozpacz jego głęboka; taką zbrodnię tylko wielką ofiarą okupić można.... Gerald spełnia ją. Choć sąd honorowy orzekł, iż Gerald swojem męztwem zatarł hańbę ojca i godnym jest ręki Berty, mimo to on opuszcza dwór króla a z nim i narzeczoną, aby walczyć z niewiernymi!

Oto treść najnowszego francuskiego dramatu, który tak korzystnie świadczy o nowym zwrocie w dramaturgji francuskiej.

Wiadomości z kraju i ze świata.

— Jak się dowiadujemy, stowarzyszenie rękodzielników „Gwiazda“ urządzi w ciągu przyszłego tygodnia żałobne nabożeństwo za duszę ś. p. Karola Libelta.

Sztuka, literatura i nauka.

— W chwili zamknięcia dzisiejszego numeru otrzymaliśmy od naszego paryskiego korespondenta obszerne sprawozdanie z tegorocznej wystawy w Paryżu, które umieścimy w przyszłym tygodniu. Dziś notujemy tylko, że trzej artyści Jacquet, Courtat i Goupil otrzymali medale pierwszej klasy. Jan Matejko nie dostał zatem pierwszego medalu za swój obraz „Zawieszenie dzwonu Zygmunta.“

— W katalogu dzieł sztuki, znajdujących się w Paryżu na tegorocznej wystawie, znajdują się następujące prace: Bakałowicza: „Ludwik XIII. zaprasza kardynała de Richelieu do partji szachów“ i „Klejnoty;“ Cetnera ze Lwowa, ucznia Cabanela 3 obrazy: „Salambô, Airam i Wiara;“ Gąsowskiego również 3: portret i dwa krajobrazy; Gersona z Warszawy: Kawalerowie teutońscy zakonu krzyżowego w Polsce w XIV. wieku; panny Mikulskiej portret i kompozycja p. t.: „Spoczynek;“ dwa portrety Rodakowskiego; dwa malowidła na porcelanie panny Płużańskiej; akwarella Szyndlera; Boryczewskiego portret ks. P. S. biust marmurowy; Grabowskiego płaskorzeźba: „Nadzieja;“ Hegella z Warszawy dwa biusty z gipsu i z gliny; Rygiera z Warszawy: płaskorzeźba z marmuru: „Bogarodzica;“ w końcu p. August Wieczfiński (de Serres), nadesłał z Wiednia architektoniczny plan wielkiego dworca kolei żelaznej w Buda-Pesth, w pięciu obrazach.

— Nareszcie skończyło się przesilenie w teatrze lwowskim. Dotychczasowa dyrekcja złożona z artystów ustąpiła, a kierownictwo objęli pp. Jan Dobrzanski i Tański były redaktor „Kaliszanina.“ Nowi dyrektorowie zapowiadają przedstawienie „Niewinnych“ Okońskiego, o których pisaliśmy na tem miejscu, i opery „Purytanów“ której dotąd nie śpiewano na naszej scenie, z panną Tellini w roli tytułowej.

— Dyrektor królewskiej galerji obrazów w Hadze, odkrył na strychu miejscowego muzeum 107 obrazów, które tamże znajdowały się od r. 1817, tak że o nich nikt nie wiedział. Między niemi znajdują się dzieła wielkiej wartości, jak jedna głowa kobieca Tycjana, tudzież utwory Herlema, Heemskerka i Hontporsta.

— Nowe pismo fachowe, „Przegląd ekonomiczny“ zacznie wychodzić we Lwowie z dniem 15 bm. pod redakcją p. Franciszka Krzysztofowicza.

— Czytamy w warszawskim „Wieku“, że nowy dramat pana Rapackiego p. n. „Mikołaj Kopernik“ wielce jest chwalonym przez osoby, które miały sposobność bliżej go poznać. Autor nie mogąc prędzej wystawić tej pracy, aż w sezonie zimowym, zamierza zaznajomić z nim publiczność w sposób nader dla niej dogodny lecz u nas niezwykły. Sposób ten będzie miał charakter publicznego odczytu z tą tylko różnicą, że nie sam autor czytać będzie „Kopernika,“ lecz wszyscy artyści, którzy mają w nim przyjąć udział. Ciekawy ten odczyt odbędzie się niezadługo na scenie Teatru letniego.

— W Paryżu pomiędzy innemi ma się odbyć w tych czasach odczyt o dźwiękach i harmonji kamieni. Powodem tego jest odkrycie, zrobione przez p. Baudre znanego badacza przyrody, że niektóre kamienie uderzane o siebie nader wdzięczne wydają odgłosy. Po kilku latach pracy udało mu się stworzyć całą serję gam za pomocą tych dziwnych instrumentów. Powiadają, że ta muzyka kamienna z żadną inną zrównać się nie może. Z okazji tego odkrycia protesor geologji, p. Elie de Beaumont, pisał do p. Baudre, że gdy w starożytności tracono czas na daremnych poszukiwaniach „madragory,“ bajecznego kamienia śpiewającego, on odkrył prawdziwą „duszę śpiewającą“ kamienia

— Wkrótce wyjdzie z druku nakładem firmy księgarskiej Ungra i Banarskiego dzieło p. t. Fizjonomia i Frenologja. Będzie to streszczenie nauki Lawatera i Galla, pomnożone spostrzeżeniami na tém polu w ostatnich czasach poczynionemi.

— P. Glück przekłada słynne dzieło Reclama: *Der Leib des Menschen und sein Leben.*

— Nakładem księgarni p. Dygasińskiego wyszedł w tych dniach: „Wstęp do nowoczesnéj chemji Hoffmana.“

Podróże, odkrycia i wynalazki.

— Geografowie byli pewni aż do ostatnich czasów, że największą górą na świecie jest Everest, w łańcuchu gór Himalaja, której wysokość wynosi 29.002 stóp. Tymczasem kapitan J. A. Lawson, odkrył teraz na wyspie Nowej Gwinei górę Herkules, wynoszącą 32.786 stóp. Gdy kapitan doszedł ze swymi towarzyszami do wysokości 25.314 stóp, poczęła im oczami i nosem krew płynąć. Herkules stoi w miejscu, gdzie ocean Indyjski styka się ze Spokojnym.

— Muzeum archeologiczne miasta Genewy zostało wzbogacone zupełnem urządzeniem kuchennem, pochodzącem z czasów rzymskich. Razem jest 30 sztuk, po większej części z bronzu, między któremi kilka bardzo misternej roboty. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, przedmioty te pochodzą z drugiego stulecia naszej ery.

— Angielska wyprawa podbiegunowa wyruszyła z Portsmouth d. 29. maja. Statek Valorous, wiozący zapasy żywności, będzie towarzyszył wyprawie aż do Disco.

— We Włoszech spodziewają się nowego wybuchu Wezuwjuszu. W ostatnich czasach gwałtowne trzęsienie ziemi powtarzało się często w całych Włoszech południowych. W wielu miejscach pozawalały slą nawet domy.

— Metalowe szkło wyboru p. de La Bastie na wystawie w Awinjonie ogniową prawdziwie przeszło próbę. Albowiem w skutek nadzwyczajnego nacisku ciekawych, gromadzących się około przedmiotów z tego szkła wyrobionych, okalająca je barjerka pękła, a publiczność dostawszy się do środka, poczęła na wszelki sposób, tłuczeniem kijami, rzucaniem na kamienie, deptaniem obcasami i t. p. wytrzymałość nowego szkła próbować. Wszystkie atoli te zamachy, wyroby p. de La Bastie przetrwały zwycięsko. Za to też nigdy może z większym zapałem i aplauzem ze strony publiczności nie był przyjęty wyrok sędziów wystawowych, przyznający panu de La Bastie medal złoty i dyplom honorowy.

Szkolnictwo.

— Si-Hung-Chang, namiestnik prowincyi Chfli, najpotężniejszy z wasalów chińskich, złożył w Pekinie prośbę o zaprowadzenie w szkołach chińskich europejskiej metody nauczania, i wymagania na sposób europejski egzaminów od kandydatów na urzędy. Jeśli żądaniu temu stanie się zadość, spodziewać się należy, że cywilizacja w Chinach wejdzie na nowe tory i weźmie kierunek podobny do tego jaki przybrała już od pewnego czasu w Japonji

Polacy w Ameryce.

— Donoszą z Cincinati, że mieszkający tam Polacy zakupili w tem mieście kościół protestancki i zamienili go na kościół katolicki, przeznaczony na bożeństwo dla Polaków.

Nekrologja.

— Karol Remusat, członek Akademji paryskiej, autor licznych prac filozoficznych i literackich, umarł d. 6. bm. w 78 roku życia.

— Edward Mörike, poeta niemiecki, zmarł temi dniami w Stuttgardzie.

ROZMAITOŚCI.

— Najsławniejszym tępicielam tygrysów w pierwszej połowie bieżącego stulecia był kapitan Sheriff w osadzie Jaulnah w Indjach wschodnich. Odznaczał się on nieustraszoną odwagą, w połączeniu z zimną krwią i przytomnością umysłu. Jako strzelec, nie chybiał nigdy z fuzji lub pistoletu, a na łowy najczęściej wychodził bez towarzysza i przewodnika. Ilekroć go zawiadomiono

o tropie tygrysa, natychmiast zastawiał na przynętę wołu lub ciele i przybliżywszy się do zwabionego drapieżnika najmniej na 5 metrów, pakował mu niechybnie kulę między oczy. Zdarzało się to zwykle właśnie w chwili odsadzania się tygrysa do skoku, tak że pudło lub najmniejsze drgnięcie muskułów zgubę zuchwałemu myśliwcowi przynieść mogło. W ten sposób zabił sam w przeciągu dwóch lat 25 tygrysów. Sheriff lekceważył zwyczajną metodę polowania na tygrysy, na grzbiecie słonia, z całym arsenałem nabitej broni obok. Drugim także bardzo znanym pogromcą tygrysów był Johnson z okolic Ellory. Metodą jego była zasiadać w nocy na czaty na grubem i wysokiem drzewie, do którego kozę lub owcę przywiązywano na przynętę. Z tej pozycji kładł trupem krwiożercze zwierzęta, a jeśli czasem, nie ugodzone śmiertelnie we wściekłym zapędzie próbowały wdrapać się na drzewo, nic się tem nie miesząjąc, dobijał je niezawodnie drugą kulą.

— Hotel de Rambouillet w Paryżu był jak wiadomo na początku siedemnastego wieku, ogniskiem literackiego ruchu Francji. Dowcipne damy, dzierżące w nim berło, pozowały tu z rozkoszą na boginie, na Muzy Francji i dążenie do artystycznego ideału czyniły hasłem swoich estetyczno krytycznych zebrań. Niekiedy jednak i te niebianki schodziły na chwilę na ziemię i przez eteryczną ich atmosferę przeciągał wesoły żart, jak ożywiające tchnienie wiosennego wiatru. Do najgorliwszych gości hotelu de Rambouillet należał hr. de Guiche, bardziej znany pod nazwiskiem Marszałka de Grammont. Pan ten był namiętnym zwolennikiem trufli. Pewnego pięknego wieczora spożył tak potężną porcję tego ulubionego przysmaku, że wszystkich w podziw wprowadził. Jedna z dowcipnych dam, która była świadkiem tego gastromicznego widowiska, postanowiła hrabiemu dać porządną nauczkę. W tym celu posłała tajemnie do mieszkania hrabiego i zawiadomiła jego kamerdynera o swoim planie. Poczciwiec ten nie był bynajmniej niedostępny urokowi brzęczącej monety i słów uprzejmych; to też nie długo się ociągając, wydał wszystkie surduty swego pana figlarnej intrygantce — a ta zasadziła natychmiast do roboty sześciu krawców z rozkazem zwężenia przez noc wszystkich surdutów na długość ręki. Nazajutrz rano, niejaki Chaudebonne, wtajemniczony w psotę, przybył jak najwcześniej do hrabiego. Hrabia ujrzawszy go wyskoczył rzeźwo z łóżka i kazał się ubierać, gdy jednak przyszło do włożenia surduta, okazała się tak znaczna różnica pomiędzy jego tuszą a obszernością sukni, że zadziwiony zawołał na sługę. — Gregoire, — ten surdut za ciasny, daj mi inny. — Sługa wykonywa rozkaz ale i drugi okazuje się nie lepszym. — Ventre-saint-gris!.. klnie hrabia... i ten za ciasny — I probuje jeszcze trzech czy czterech innych. Wciąż to samo. Pot trwogi występuje mu na czoło. — Dalipan!.. rzecze — powiedzieć by można, że spuchłem! Byłyżby to w istocie skutki trufli... Przestrzegano mnie nieraz, że oddziaływają one w ten sposób... „Hm! to bardzo być może“, — odparł obojętnie Chaudebonne. Bo też potężną porcję ich wczoraj spożyłeś! — Tak!... nie ma wątpliwości!... odrzekł hrabia. A to mi piękna historja... W istocie, teraz dopiero czuję jakiś osobliwszy ucisk w żołądku... „Tak!—wyrzekł przeciągle Chaudebonne... no, ale to może nic nie znaczy. Bądź co bądź jednak wyglądasz dzisiaj jak obrzmiały“... — Tak sądzisz?... pyta Guiche, wpadając w coraz większe przerażenie. W tej chwili zaczęto dzwonić na mszę, było to bowiem w niedzielę. Hrabia zarzuca więc tylko płaszcz na barki i spieszy do kościoła. Na drodze wita go kilku znajomych z hotelu de Rambouillet, wysłanych umyślnie na jego spotkanie.— Na wszystkich świętych, zawoła jeden z nich, kochany de Guiche, jakże ty wyglądasz. Przez noc ci przybyło co najmniej dwie stopy w przecięciu! ..— „A co czy nie mówiłem! odparł z jękiem hrabia, zwracając się do Chaudebonna!... A ucisk w żołądku powiększa mi się od chwili do chwili. Tożby to był smutny los w 21 roku życia paść rażony apopleksją, za to tylko że się kilka nędznych trufelków więcej niż zazwyczaj zjadło!“ Powróciwszy do domu, hrabia gorączkowo podążył do zwierciadła... — Jako żywo, zawołał, wyglądam jak trup, a w skroniach pali mnie jakiś piekielny ogień... A tu znów ucisk.. Chaudebonne! jestem naprawdę chory,... zawołaj mi doktora! — Przez ciąg dnia rozdrażniła się wyobraźnia hrabiego do tego stopnia, iż Chaudebonne, który go ani na chwilę nie odstępował i w duszy omało nie umarł ze śmiechu — począł się nieco lękać. Wiesz co? — rzekł wreszcie przystępując do ciężko oddychającego hrabiego... Przychodzi mi na myśl, że jeden z przyjaciół mego ojca zjadł raz także wiele trufli naraz i takimże samym skutkom podlegał. A pomógł mu w tym razie środek, który mogę ci natychmiast na kartce napisać. Pewien jestem, że ulga będzie natychmiastową.. „Och!... będziesz prawdziwym aniołem z nieba — zawołał de Guiche, ożywiony nadzieją. Oto pióro i papier, siadaj i pisz! pisz prędko!...“ Chaudebonne na to wezwanie przystąpił do stołu i w kunsztownych zakrętach napisał: Recipe rozmaitych krawców i każ sobie surduty rozpuścić!... Cały tydzień mówiono tylko o tym figlu w całej wykształconej Francji!

— P. Leon Say, minister finansów we Francji, przyjął w imieniu rządu francuskiego nadesłane w darze od pp. Florentego Joostens, kapitana belgijskiego i Jerzego d'Hanis z Antwerpji 400 gołębi pocztowych najlepszego gatunku, których większa część odznaczyła się w wielkich wyścigach gołębich i otrzymała nagrody. Ze swej strony p. de la Perre de Roo bogaty Belgijczyk, lecz Francuz sercem, ofiarował p. Geoffroy Saint-Hilaire swoje najlepsze gołębie pocztowe. W ten sposób gołębnik wojskowy francuski posiada obecnie czterysta dwadzieścia gołębi pocztowych, których potomstwo zasiedli wkrótce inne gołębniki, założone w różnych twierdzach tego kraju. Pomiędzy temi ptakami znajduje się jeden gołąb pocztowy, jeniec niemiecki, który powrócił przed kilku miesiącami z niewoli do gołębnika swego przy bulwarze Clichy. Spadłszy z balonem „Niepce“, dostał się w ręce żołnierzy niemieckich, poczem przeszedł na własność księcia Fryderyka Karola, który odesłał go z kilku innemi swej matce. Biedny więzień oddany pod dozór intendenta dworu książęcego, przebył cztery lata na obczyźnie, aż wreszcie udało mu się uciec i powrócić do rodzinnego siedliska. Właściciel tego gołębia darował go gołębnikowi wojskowemu, gdzie pierzasty weteran otoczony jest wszelkiemi względami, należnemi jego zasługom.

— Dla naszych czytelników ciekawą zapewne będzie rzeczą dowiedzieć się kilku szczegółów o Persji, której władzca tak długo ogół się zajmował. Udziela nam ich obficie z własnego widzenia i słyszenia, angielski sekretarz stanu z Wiednia. A. H. Mounsey w pięknie opracowanem dziele. Zapuścił się on w wysokich politycznych celach przez Kaukaz aż w głąb Persji i wspomagany rekomendacjami a poparciem rządów, miał osobliwie dogodną sposobność zbadania i wywiedzenia się wiele rzeczy, które zwyczajnym podróżnym, — rzadko zresztą wybierającym się z Europy w tamte strony — byłyby niedostępne. Opis jego jest zbyt mocno, wedle naszego zdania, nałożony czarnemi barwami i zdrad za tendencyjny pessymizm — zawiera jednak w sobie dużo prawdziwych i bystrych spostrzeżeń. Czemże tedy jest, wedle obserwacji pana Mounsey w skróceniu, owa Persja? Krajem, tak wielkim jak Anglja i Francja razem wzięte, ale posiadającym tylko pięć miljonów ludności, z których, w przeciągu dwóch ostatnich lat, miljon prawie wymarł z głodu. Z żyjących jeszcze czterech miljonów trzy czwarte ssie łapy. A pomimo tego, muszą ci nieszczęśni płacić rocznie około 14 miljonów talarów podatku na utrzymanie Szacha, jego żołnierzy, urzędników i na zaspokojenie kosztownych jego kaprysów. Muszą — ale gdzie nic niema — tam nawet Szach traci swoje prawa! Stan ten kasy władzcy nie tyle źle oddziaływa na wielkich jego przybocznikow — ile na żołnierzy!... Rzadko oni widzą żołd swój i ztąd po większej części włóczą się w łachmanach, a w przecięciu ledwo połowa ich ma broń jakąkolwiek. Z natury chudzi, w takich warunkach przedstawiają samą skórę i kości. Najlepszą ich część stanowi jeszcze 30.000 kawalerji i 500 artylerzystów. Oprócz tego Persja posiada jeszcze 90 regimentów piechoty, każdy po 800 ludzi. Przed piętnastu laty wojsko to było wyćwiczonem przez angielskich oficerów — ale cała ta karność i umiejętność dawno już przepadła. Porządna, choćby maleńka armijka — dajmy na to moskiewska — mogłaby przy złodziejskim apetycie całą Persję bez wielkiego oporu zagarnąć; gdyby nie mnóstwo nieprzebranym okiem pustyń stepowych i piaskowych. Persja jest krajem najostrzejszych kontrastów i składa się z najpyszniejszych, od tylu wieków przez tutejszych poetów sławionych, rajskich okolic, pełnych zapachu róż i słowiczej pieśni, — obok straszliwych, solnych i piaskowych pustyń równie straszliwemi i dzikiemi łańcuchami gór i płaskowyżyn, na które rzadko kiedy padnie kropelka wody, wystarczająca do wyżywienia rośliny. Rzeki, w innych okolicach ziemi rosnące z przytoków i pędzące ku morzu, tu gubią się w niezdolnych do życia przestrzeniach i jeziorach słonych, w okół których nic żywego istnieć nie może. A warunki klimatyczne! Przestrzeń ciągnąca się wzdłuż zatoki perskiej cały rok prawie zieje żarem piekarskiego pieca! Podobny kawał ziemi przy Kaspijskiem morzu przez pięć miesięcy w ciągu roku rozsiewa błotne i gorączkowe miazmy. Pomiędzy nimi zaś wznosi się na 3 do czterech tysięcy stóp nad poziomem morza wysoka i obszerna masa lądu zimą zagrzebana pod śniegiem a w lecie przeraźliwie naga, wszelkiego zwierzęcego i roślinnego pozbawiona życia! Tu latające piaski, owdzie gromady czarnych wzgórków i poszarpanych skalisk! Gdzie niegdzie pochylają się te okropne płaskowyżyny ku otwartym równinom i wtedy nagle całe morze złocistych pagórków, rzuconych pomiędzy najsoczystsze łąki i wonne ogrody pełne róż, cyprysów, hjacyntów, lilij i wesołego ptastwa, wita i zaprasza podróżnika — istny mahometański raj na ziemi! Teheran obecna stolica, 2.000 stóp nad morzem wzniesiona, łączy w sobie wszystkie stopnie ciepła i zimna. Około Bożego Narodzenia, misjonarze chrześcijańscy dla prywatnej przyjemności Szacha i jego ministrów, ślizgają się na łyżwach po ogromnej przestrzeni zamarzniętej, otoczonej murem dla jak najdłuższego zachowania lodu. Za zbliżeniem się lata wywędrowuje połowa prawie mieszkańców na szczyty Elborusu, reszta zaś kryje się przez dzień w podziemnych jaskiniach, a nocami żyje na dachach. A taka przytem panuje susza w powietrzu, że w nocy nawet najmniejszej wilgoci uczuć nie można, i towary żelazne lub stalowe leżeć mogą miesiące całe na otwartem powietrzu bez zardzewienia. Dróg bitych i gościńców porządniejszych nie ma zgoła prawie; jedyny króciuchny kawałeczek kolei łączy Teheran z zameczkiem letnim Szacha — a druga znaczniejsza przestrzeń nad morzem Kaspijskiem jest w początku swej budowy. Dobre konie i dobrzy jeźdźcy starają się tam zastąpić dobre drogi. Dobrym zaś jeźdźcem nazywa się ten, kto potrafi cały dzień wytrzymać na siodle wśród palących piasków i bezludnych skalisk, dopokąd nie dotrze do Manzil (stacji) lub jakiego samotnego mieszkania. Ale i to odnosi się tylko do bardziej ucywilizowanych okolic; w wielu zaś innych kręcą się koczujące hordy rabusiów z czarnemi swemi namioty i żyją jak szarańcza, na zgrozę ludzi, którzy się do nich zanadto zbliżą. Persowie, przed wiekami silny, wojowniczy lud, dzisiaj noszą na sobie wszędzie piętno upadku i słabości, stracili bowiem siłę cywilizacyjną. Sztucznem nawożeniem i porządną uprawą roli można by było tysiące mil kwadratowych tego kraju zamienić w siedliska płodności i cywilizacji. Ale do podjęcia i spełnienia takiego zadania braknie tam wszędzie pieniędzy, siły i rozsądku. Nawet sama stolica wygląda nędznie i obdarto ze swemi krzywemi, wązkiemi, tu i owdzie tylko ładajako wybrukowanemi ulicami i domami podobnemi do jaskiń. Tylko konie perskie wciąż jeszcze wyborne, i niektórzy robotnicy oraz rzemieślnicy wyrabiają pełne wdzięku towary za bezcen. Szczególnym smakiem i wonią wabią owoce. Hodowla wina świetnie by się tu opłaciła — sok Hamadańskich gron dzisiaj jeszcze niesprawiedliwia pochwały Hafisa, największego z perskich poetów.

Treść Nr. 24.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).